№ 46. Warszawa, dnia 26 Maja / 7 Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

# WIENIEC

## PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

### WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

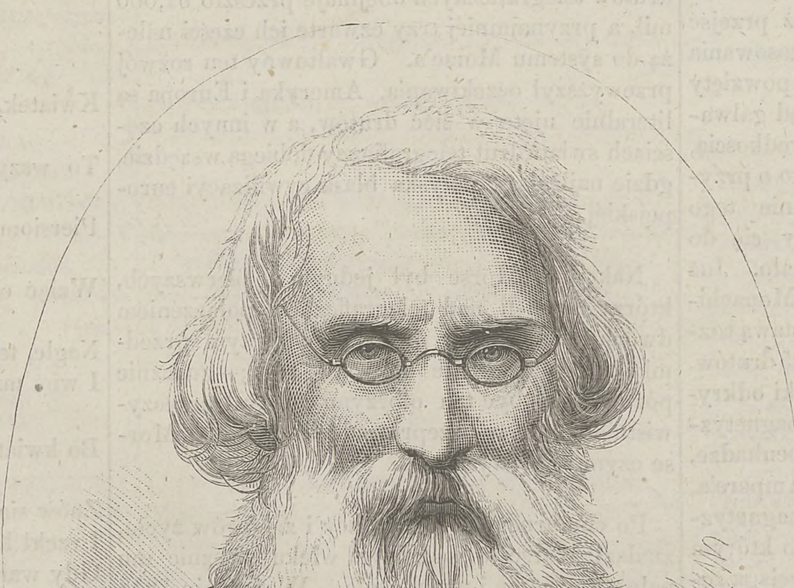
Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskieg kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

## SAMUEL MORSE.

Dnia 2 Kwietnia r. b. zmarł Samuel Finley Breese Morse, słynny wynalazca telegrafów noszących jego nazwisko. Nazwisko jego w istocie daleko się rozeszło: kto tylko choćby pobieżnie obeznany jest z ruchem swego czasu, kto choćby tylko najpopularniejszą czyta gazetkę—tego już uwadze głośna owa osobistość ujść nie mogła. O ileż są szczęśliwsi ci, co umieją zdobycze naukowe wnosić w życie bezpośrednio, co je umieją w praktykę wprowadzić, nad myślicieli, co życie swe łożą na rozjaśnienie tajemnic przyrody, co ukryte jéj siły na jaw wydobywają, co odczytują prawa ich działania,—i którzy gotowy materyał do zastosowania przedstawiają. Setny, tysiączny zaledwie zna nazwy Ohma, Gaussa, Webera, Kohlrauscha, Oerstedt'a, Ampere'a i tylu innych twórców nauki o elektryczności; sam Faraday rozgłos swój zawdzięcza raczéj popularnym wykładom, niż wspaniałym naukowym zdobyczom. I dziwić się temu nie można: ludzkość wdzięczna jest temu, kto jéj dar wspaniały przynosi, nie pyta się o tych, z których go rąk przyjął, na czyich barkach się wspierał, sięgając po niego; dla dobrobytu zaś człowieka odkrycia naukowe wtedy dopiero wagi nabierają, gdy w zastosowanie już przejdą: cała doniosłość praw działania



Samuel Morse.

pary dla ogółu objawia się jedynie w machinie parowéj.

Morse stoi niezawodnie w rzędzie tych, co najdzielniéj siły przyrody na usługi człowieka stosować umieli; do ułatwienia stosunków międzynarodowych najwięcéj się przyłożył. Rzecz tem godniejsza uwielbienia, że działalność jego główna na inném wcale rozwijała się polu,—Morse bowiem był malarzem i wśród malarzy amerykańskich nieposlednie zajmuje miejsce.

Urodzony 27 Kwietnia 1791 r. był starszym synem pastora Jedediah'a Morse'a, który dał się chlubnie poznać jako autor „Geografii Ameryki;" pierwiastkowe nauki odebrał Morse w Yale College w Nehwaven w stanie Connecticut, po opuszczeniu zaś téj szkoły w r. 1810, młody Samuel zapragnął poświęcić się sztuce, i przełamawszy opór ojca, udał się z rodakiem Washingtonem Allstone, w Sierpniu 1811 r. do Londynu, gdzie mistrzami jego w malarstwie byli Benjamin West i Copley, i gdzie zawarł ścisłą przyjaźń z malarzem Leslie. Już w r. 1813 mógł wystawić w akademii królewskiéj wielki obraz „Herkules umierający," który ze strony znawców powszechne zyskał pochwały. Dla ułatwienia téj pracy, przygotował sobie model gipsowy, przedstawiający tenże sam przedmiot, za który Adelphi-Society młodemu artyście przyznało złoty medal. Wróciwszy w roku 1815 do Ameryki, probował szczęścia w kilku miastach jako portrecista, lecz obfitsze nieco owoce zaczęła mu jego sztuka przynosić dopiero, gdy osiadł w New-York'u, téj stolicy handlu amerykańskiego. Tu założył towarzystwo artystyczne, które w roku

1826 zamieniło się na istniejącą dotąd akademię narodową malarstwa, akademii téj Morse przez długi czas przewodniczył. Najrozgłośniejszą sławę, jako portreciście, zjednał Morse'owi portret Lafayette'a wykonany w naturalnéj wielkości na zlecenie kongresu Stanów Zjednoczonych.

W roku 1829 przedsięwziął Morse podróż artystyczną do Europy, i trzy lata przepędził w Anglii, Francyi i Włoszech. W jesieni roku 1832 otrzymał zaproszenie na objęcie katedry historyi sztuki w uniwersytecie Nowojorskim. Wtedy, to w podróży do ojczyzny powziął pierwszy pomysł telegrafu, na który nasunęły go rozmowy z professorem Jackson'em z Harvard-College wraz z nim z Europy wracającym. Jackson opowiadał artyście z zachwytem o pracach nad elektromagnetyznem, które wówczas cały świat naukowy żywo zajmowały; dla Morse'a zaś nie były to rzeczy obce: przebywając w New Yorku wiele chwil poświęcał pracy nad fizyką, wraz z profesorem Dana.

Kto jest pierwszym wynalazcą telegrafu, kto pierwszy powziął myśl zastosowania elektryczności do przesyłania wiadomości między dwoma odległemi miejscami? zapewne—nie łatwo na to odpowiedzieć: wszystkie wynalazki wymagają poprzednio przygotowanego materyału, a gdy ten materyał jest już zebranym, wielu myślicielom naraz nowa powstać może idea: tak prawo o zachowaniu się gazów, które Francuzi przypisują Mariott'eowi, Anglicy oznaczają nazwiskiem Boyle'go; tu ma źródło spór o pierwszeństwo wynalezienia rachunku różniczkowego między stronnikami Newtona a Leibnitz'a. Czyż może kto oznaczyć punkt, od którego wynalazek druku datować należy: od kart niezgrabnie rytowanych w wiekach średnich do wspaniałych utworów dzisiejszéj sztuki drukarskiéj, ileż przejść stopniowych. Pierwszy pomysł zastosowania elektryczności do telegrafów zapewne powzięty został już wtedy, gdy poznano, że prąd galwaniczny po przewodnikach bieży z prędkością, przechodzącą prędkość światła; szło tylko o przyobleczenie téj myśli ciałem, o wybranie tego z działań prądu galwanicznego, któreby się do wskazanego celu najdogodniéj użyć dało. Już w roku 1808 Sömmering urządził też w Monachium telegraf elektryczny, biorąc za podstawą rozkład wody w 35 rurkach, przy pomocy 35 drutów. Rok 1820 pamiętny jest w dziejach nauki odkryciem związku między elektrycznością a magnetyzmem: wskazany przez Oerstedt'a w Kopenhadze, związek ten dzięki genialnym pracom Ampere'a, rozwinął się we wspaniałą teoryę elektromagnetyzmu. Pręt żelazny, otoczony drutem, po którym prąd przebiega staje się magnesem, przyciąga żelazo, stal; skoro prąd zostanie przerwanym, pręt traci własności magnetyczne żelazo przyciągnięte poprzednio odbiega. To działanie jest podstawą przyrządu Morse'a, który wykonał po wielu niepomyślnych próbach. Drążek żelazny przyciągany przez opowiedziany pręcik, połączony jest z rylcem, który na wstędze papieru robi kreskę lub kropkę, albo też oznaczoną ich kombinacyą stosownie do tego, jak długo trwa przepuszczanie lub przerywanie prądu, każdą głoskę stanowi umówiona kombinacya. W szczegóły techniczne nie tu miejsce wchodzić, czytelnika odsełać musimy do traktatów fizyki. Telegraf Morse'a, zwany piszącym zyskał najrozleglejsze zastosowanie, telegrafy igiełkowe (w których znaki polegają na drganiu igiełki otoczonéj zwojami drutu), oraz wskazówkowe mają tę wadliwość, że dają oznaczenia tylko przechodnie, telegrafy drukujące i chemiczne (z których najdoskonalszy pontelegraf Casellego, dający wierną kopię każdego pisma), jakkolwiek nader pomysłowe, zbyt są zawiłe; telegraf Morse'a zaleca się prostotą i łatwem użyciem.

Nie zaraz jednak znakomity wynalazca znalazł powszechne uznanie. W r. 1835 ukończył Morse pierwszy swój telegraf piszący, a we Wrześniu 1837 r. złożył jego model w uniwersytecie Newojorskim, i udał się do Waszyngtonu dla zyskania środków do praktycznego przeprowadzenia swego wynalazku. Tu odepchnięty, udał się w roku następnym do Europy, gdzie nad urzeczywistnieniem tejże myśli wielu pracowało badaczy—zwłaszcza Steinheil w Niemczech i Wheatstone w Anglii; jakkolwiek system Morse'a przewyższał wszystkie inne, nie znalazł on i tu uznania i z Europy Morse zdołał wynieść zaledwie patent wynalazku, udzielony mu przez rząd francuzki. Niezrażony przeciwnościami wrócił do Ameryki i nowe rozpoczął zabiegi u kongressu Waszyngtońskiego. Sessya atoli roku 1842—1843 dobiegała do końca, a starania Morse'a skutku żadnego odnieść nie mogły. Złamany niepowodzeniem, już gotował się do odjazdu, gdy 3 Marca 1843 r. rano odebrał niespodzianą wiadomość, że kongres o północy przeznaczył 30,000 dolarów na założenie, sposobem próby, linii telegraficznéj między Waszyngtonem a Baltimorem:—następnego roku pierwsza ta linia otwartą została. Wkrótce też w Europie system Morse'a należycie został oceniony i powszechnie przyjęty.

Żaden zapewne wynalazca za życia nie widział tak znacznego rozpowszechnienia swego wynalazku jak Morse: w ojczyźnie jego sieć drutów telegraficznych obejmuje przeszło 61,000 mil, a przynajmniéj trzy czwarte ich części należą do systemu Morse'a. Gwałtowny ten rozwój przewyższył oczekiwania, Ameryka i Europa są literalnie ujęte w sieć drutów, a w innych częściach świata drut telegraficzny dobiega wszędzie, gdzie najlżejszy połyska blask cywilizacyi europejskiéj.

Nakoniec Morse był jednym z pierwszych, którzy myśleli nad telegraficzném połączeniem dwóch lądów ziemi; próby jego w tym przedmiocie datują jeszcze od roku 1842;—znacznie późniéj miał być ten olbrzymi pomysł urzeczywistnionym, a w przeprowadzeniu go miał Morse czynny i żywy udział.

Po chmurném, pełném pracy i zabiegów życiu, znalazł Morse w sędziwym wieku słusznie mu należne uznanie i uwielbienie. W sierpniu 1858 roku rządy europejskie ofiarowały wynalazcy telegrafów piszących 400,000 franków,—uniwersytety i towarzystwa naukowe wyprzedzały się w przyznawaniu mu godności honorowych i w zapraszaniu go na członka, a w Czerwcu 1871 r. w New-Yorku odkryty został jego pomnik: Ameryka zapragnęła za życia uczcić znakomitego swego syna. Do schyłku zresztą życia Morse zachował dzielność umysłu, nie przestając żywy brać udział we wszystkiém, co się tyczyło ruchu naukowego lub artystycznego. Dnia 16 Kwiena Kapitolu Waszyngtońskim obchodzoną była wspaniała uroczystość na uczczenie pamięci zasłużonego męża,—imię jego do najdalszéj potomności własne jego dzieło przeniesie.

---

## LIDYA.

(Fragment).

La tristesse est un lieu sombre,
Ou l'amour rayonne mieux.
*V. Hugo.*

. . . . . . . . . . . . . . .

Od kropek rzecz poczynam. Jak gwid z chmur-[ną twarzą
Do lochów one wiodą i na strome wierzchy,
Zdarzeń wstęgi barwistéj domyślać się każą,
I zdarzenia w mistyczne ubierają zmierzchy;
Robią też effekt w druku jak nawias lub gwiazd-[ka....
*Satis.* Może się z kropek wyprzędzie powiastka.

Cokolwiek zaś nastąpi, formą epizodu
Powiem: jaka mnie siła do rymów dziś nagli.—
Jest demon, co na cegłach umarłego grodu
Siada, jak na okręcie bez steru i żagli:
Smutny, bo dawnych grobów owiany żałobą,
Straszny, bo szklanym wzrokiem wciąż włóczy [za sobą.

Znacie go. On na starców marmurowe lica
Krwią wbiega; łzy do źrenic, w pierś przyzywa [drżenie;
Gdy człowiek bluźniąc kona, on jak błyskawica
Z oczu bielmo mu płoszy... Zowie się: Wspo-[mnienie.
Przeklęty! dziś mi ducha marzeń zmroczył [chmurą,
Więc oto w piersiach płomień, a w dłoni mam [pióro.

I.

Kwiatek, z włosów plecionka i strzęp bladéj [wstążki
To wszystko, co mnie teraz w noc przeszłości [wraca...
Piersiom moim tchu brakło, i gdy go z kart [książki
Wziąć chciałem (serca duszność leczy głowy [praca),
Nagle, te uczt okruchy wypadły z jéj środka,
I wonią mnie rozmarzyła zabójcza choć słodka.

Bo kwiatek, zżółkłych listków odmieniając far-[by,
Znów się różą stał, klombów słońcem i królową,
I rzekł kwiatów językiem: jakie widział skarby,
Gdy wargą z aksamitu muskał pierś puchową,
Gdy z za gorsu niepełne pokazując lice,
Ciskał najprzód uśmiechy, potém błyskawice...

A ta znów plecioneczka mała, z jasnych włosów
Szepnęła, ubierając twarz moją w rumieniec:
Że jest—niby źdźbło liche z pełnéj więzi kłosów—
Promyczkiem téj kaskady, co się w szumny wie-[niec
Układała przy skroniach, i na czole bladém
Złota, świetna, jak z ognia i topazów dyadem.

Pyszne włosy! i pyszne to czoło królewskie
Z marmuru wyrzeźbione jak kamea grecka!
I oczy półzielone te i półniebieskie!
I twarz pyszna, twarz czarta, cheruba i dziecka!
I pierś chłodem kamiennym burz kryjąca zamęt,
I serce, w cieniach grzechu błyszczące jak dya-[ment!

Do skarbów tych, jak dziecię do gwiazdy dale-[kiéj
Wyciągam dłoń—i płaczę, zwiódlszy się boleśnie...
Snem one są, i snem już zostaną na wieki!
Bo co umarło w życiu, zmartwychwstaje we śnie,
By ducha tłoczonego codzienności głazem
Jak cień kochanki straszyć i pocieszać razem.

II.

Nie! to nie w maju było. Z pobladłego nieba
Przyświecał wtenczas światu wrzesień zadumany,
Kiedy z piersią wystygłą, głodny wrażeń chleba
Ujrzałem ją. Jak Wenus z oceanu piany,
Tak wyszła z oceanu dźwięków piękna, dumna:
Spojrzeniem błyskawica, postawą kolumna.

A wrzesień był tak smutny! Rankiem, szrony [białe
Perłami okrywały łąkę, a o zmroku
Wiatr łamał bzy i lilie na klombach omdlałe,
Dzień rodził się w stalowym, marł w krwawym [obłoku,
Deszczem liście spadały, i we mgle tonąca
Przestraszała nocami blada twarz miesiąca.

A duch mój był tak tęskny! Na boleści drzewie
Swiat go rozpiął i poił rozczarowań jadem,
Namiętność, jak przykryte popiołem żarzewie
Tajemnie go trawiła, i Ikara śladem
Błędne gwiazdy urojeń gonił bez wytchnienia;
Bóg dał mu wzniosłe chęci—nie dał ich wcielenia.

Ach! smutek mnie zwyciężał. Z powietrza i z sie-[bie
Biorąc go, między tłumem błądziłem żałosny,
Jak ten, co ziemię zbrzydził, a wątpi o niebie;
I trwoga gryźć mnie jęła, że już złotéj wiosny
Nie zobaczę, bom duszą pół-martwy i ciałem—
Gdy nagle, przez łzy szczęścia tę piękną ujrza-[łem...

III.

Dzień gasnął. Białe róże listkami płakały,
Z jarzębiny wiatr strząsał koralowe grona;
Gdzieniegdzie przez gałęzie posąg błyskał biały,
Gdzieniegdzie stawu szyba słońcem ozłocona—
Tu przyszedłem, ułudną zwabiony pociechą,
Że znajdę w smutku ziemi własnych smutków [echo.

Zadumany, po kwiatów deptałem smętarzu,
Myśląc, że porzuciły duchy tę pustynię,
Oprócz utajonego w natury ołtarzu—
Lecz myśli wzrok zadziwił, odkrywszy w gę-[stwinie
Domek, od łun zachodnich różowy i złoty,
Ubrany w oleandry i bluszczowe sploty.

Domek ten na akacyi tle zielono-szarém
Kaplicą zdał się, tak był cichy i ustronny;
Z ustronności téj także wyglądał na harem,
Z sułtanką wewnątrz zamiast przeczystéj Ma-[donny.
Przed domkiem woda ciekła, na gzémsach i zrę-[bie
Z różowemi dzióbkami siedziały gołębie.

Okno było otwarte; przez lekkie zasłony
Szedł w nie blask. — Ktoś w okna mignął białą [twarzą—
Zadrżałem, i uciekać począłem spłoszony
(Od gazelli lękliwsi są tacy, co marzą),
Gdy w tém, pod dłonią mistrza zadźwiękły kla-[wisze
I z okna się polała pieśń przez parku ciszę.

A z pieśnią głos kobiecy złączył się, i w parze,
Jak z ciałem duch, przez ciemność przedarł się [do słońca...
Stanąłem, i przez chwilę myślałem, że marzę,
Tak nieziemską się zdała melodya płynąca;
Potém, niby lunatyk, z przymkniętemi oczy
Poszedłem tam, gdzie rodził się ten śpiew uro-[czy.

Poszedłem aż do okna, i wsunąwszy głowę
Pomiędzy bluszcz, słuchałem.—Słońce już zaga-[sło,
Na niebie tylko zorze płonęły różowe
I świerszczyk, stróż rumowisk, szeptał nocne ha-[sło.
Słuchałem: a szept świerszcza i ta pieśń półświęta
Duszę moją chwyciły w marzeń złote pęta.

Odbiegła mnie świadomość i miejsca, i czasu,
Chmurą umysł się zakrył, jak słońce obłokiem—
I widziałem księżycem zalaną głąb lasu...
I widziałem jedliny gąszcz zalaną mrokiem...
Śnieg na czarnych gałęziach... krzyż od śniegu [srebrny...
I trumnę... i rusałek korowód pogrzebny...

Widziałem: wieniec z laurów i lutnia strzaskana
Mówiły, że w téj trumnie biedny śpiewak leży—
Widziałem: śmierć ta poszła przed wszechświa-[światów Pana...
Potém sny, co się jawią dzieciom wśród pacierzy,
Jak nad celą ascety biali aniołowie,
Nad sercem mojém biegły, skrzepniętém w poło-[wie.

Cheruby w złotych nimbach, uskrzydlone głowy,
Potopy róż, dziewice w powłóczystych szatach...
Gdy szły w ciemność, wołałem rozpacznemi sło-[wy:
„Wróćcie, wizye dziecięcia! wróćcie sny na kwia-[tach!"
A gdym ujrzał, że wiatr je unosi daleko,
Poczułem w piersiach płomień—i łzy pod powieką.

I myśl moja tak w złudzeń utonęła chmurze,
Że twarz zakrywszy, płakać jak dziecię zacząłem,
A wtenczas—o niebiosa! o gwiazdy! o róże!
*Ona*, ta bozka, światła uwieńczona kołem
Przyszła, i nad ginącym w cierpienia rozterce
Litując się, szepnęła: „Sercem witam serce..."

IV.

Od téj chwili ów domek cichy stał otworem
Wietrzykowi, i słońcu, i mnie; od téj chwili
Skroń schylałem przed jego królową i dworem,
Jak lotus, co się drżący przed księżycem chyli;
Drzwi w bluszczowych festonach otwierałem co [dnia,
A gołębie gruchaniem witały przychodnia.

Od téj chwili zapadłem w letarg, w sen uroczy,
Co zabił we mnie pamięć i ludzi i świata...
Ach! bo Lidya mi w modre dała patrzéć oczy
I zawiodła tam, gdzie się we snach tylko lata,
Bo w pierś moją, w czarownéj zmartwychwsta-[nia nocie
Weszła miłość—rozkoszy niebiańskich przeczu-[cie.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

*Wiktor Gomulicki.*

# NA MARNE.

## SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

*Ciąg dalszy.* (*Ob. Nr. 45*).

A rzeczywiście, to małe słówko: ożenić się, nie przyszło mu jeszcze do głowy. Całując rę-ce Potkańskiéj, nie pomyślał o konsekwencyi pocałunków. Gniewał się na siebie i na to szczególniéj, że ktoś przypominał mu obowiązki sumienia. Dzień, dwa, późniéj niezawodnie samby sobie je przypomniał. Upominanie z cudzéj strony odbierało téj myśli urok samodzielnego płynącego z miłości czynu, robiło ją przymusem.

Wieczorem tegoż dnia Augustynowicz spotkał Wasilkiewicza.

— Wiesz że Szwarc bywa już u Potkańskiéj?

— Cóż tedy?

— Kobieta rozkochana w nim do niepamięci. Domyśl się co z tego wyniknie, i osądź co Szwarc powinien zrobić?

Wasilkiewicz odparł ze zwykłą rezolutnością:

— Kochać ją także.

— Tak, a daléj?

— Daléj niech sobie sami radzą.

Augustynowicz machnął ręką niecierpliwie.

— Jeszcze jedno pytanie: jakbyś ty skończył z Potkańską?

— Gdybym ją kochał?

— Tak.

— Ożeniłbym się bez namysłu.

Augustynowicz zatrzymał go, i z ręką na sercu, począł mówić tonem głębokiego przekonania:

— Widzisz, ja Szwarcowi wiele jestem winien, a zresztą sam to wiesz najlepiéj, chciałbym tedy szczerze odpłacić mu się—tak, odpłacić radą. On jest w dziwaczném położeniu... a jednak,—rozumiesz—są pewne prawa uczciwości, których nie można łamać. Nie chciałbym, aby ktoś, kiedyś Szwarcowi mógł powiedziéć: „Postąpiłeś nieuczciwie." Mówię otwarcie: nie chciałbym, a ty możesz tu dużo zrobić—ty masz wpływ na niego.

Lecz Wasilkiewicz zamiast dać się przekonać, rozgniewał się.

— A ty co się w nie swoje rzeczy wtrącasz? Zostawić mu wolę—toż niedawno jak u niéj bywa. Ej! Augustynowicz, albo ty to z serca robisz? Jeśli ciebie Helena co obchodzi to niech mnie... ale to twoje wścibstwo—ty lubisz pozować i prawić piękne słówka. Nie graj komedyi! Poświęcasz się niby tracąc mieszkanie przez ożenienie Szwarca, ale to tylko lekkomyślność. Ty sam już nie wiesz kiedy się oszukujesz! O Szwarca się nie bój — żebyś ty był taki, nie trzebaby więcéj. Co tobie do tego! Ty za grosz nie masz taktu,

— Schowaj te nauki dla siebie. Więc nie wdajesz się między nich?

— Gdyby ten nieokreślony stosunek trwać miał długo—ja pierwszy będę się starał namówić, a nareszcie zmusić Szwarca do ożenienia się z nią; —ale dziś wtrącać się między nich—to głupstwo.

Augustynowicz wrócił wielce skonfundowany; poczucie prawdy jednak powiedziało mu, że Litwin miał racyę—i że z jego strony było to istotnie wścibstwo i chęć pozowania, nic więcéj.

VIII.

Ale upłynęło parę miesięcy, skończyła się zima, przeszła wiosna, nastało lato, a owe stosunki nie zmieniły się. Kochał Szwarc Helenę, ona jego i płynęło im życie we wzajemnéj na przyszłość niepamięci. Był jednak cień między nimi—cień rzucony przez wypadek. Letniego dnia jednego, Potkańska zawiązała pod brodę wstążki niebieskiego kapelusika i okrywszy ramiona płaszczykiem, uczepiła się ręki Szwarca—poszli oboje na spacer.

Słońce świeciło, było trochę kurzu w powietrzu, a upał dawał się czuć na wszystkich twarzach, choć było koło szóstéj po południu. Mnóztwo osób wychodziło na miasto, wielu znajomych Szwarca witało go przyjaznem skinieniem głowy niektórzy a nawet i obcy oglądali się za naszą parą. Rzeczywiście piękna to była para. Szwarc wyrósł, zmężniał; brodę i boki twarzy jego okrywał już wspaniały rudawy zarost, a twarz sama nosiła wyraz poważny z pewnym odcieniem dumy—Potkańska wyglądała zupełnie na młodą narzeczoną; wiatr rozwiewał niebieskie wstążki jéj kapelusika, bawił się z białą suknią i unosząc okrycie, ukazywał wysmukłą jéj figurkę. Z wdziękiem oparta o ramię Szwarca, cieszyła się i nim i słońcem, i powietrzem, jakoby drugi raz na świat zrodzona. Szwarc więcéj na nią patrzał, niż na otaczających. Nie podejmujemy się powtarzać ich rozmowy owego szczebiotu zakochanych, bez znaczenia dla innych, pełnego wdzięku dla nich. Były jednak i poważniejsze rozmowy. Potkańska naprzykład prosiła Szwarca żeby ją zaprowadził na grób męża.

— Latem, widzisz— mówiła—i na cmentarzu mnóztwo cienia, a nie byłam tak dawno; nie mogę go jednak zapomnieć. Ty mi go zastępujesz Józefie, ale pozwól mi się i za niego pomodlić czasem.

Szwarcowi było wszystko jedno dla czego i za kogo się Helena modliła; odrzekł więc z uśmiechem pełnym pobłażania:

— Dobrze Heleno, pamiętaj o swoich zmarłych — tylko kochaj żywych, dodał pochylając głowę ku jéj twarzy.

Lekkie przyciśnięcie do piersi ramienia Szwarca było odpowiedzią ze strony Heleny. Spojrzała mu w oczy, potém zarumieniła się jak dziewczynka.

Szwarc ze swéj strony nakrył dłonią, maleńką, wspierającą się na jego ramieniu rękę i... był zupełnie szczęśliwy.

## ZARYSY EGIPTU.



Głowa Isis, podług starożytnéj płaskorzeźby.



EGIPCYANKA. Kopia z obrazu Landell'a.

Poszli na cmentarz. Po drodze spotkali Augustynowicza; szedł paląc cygaro obok dwóch dam z których jedna była matką, druga córką. Augustynowicz prowadził córkę pod rękę—matka podążała z boku trochę; przeszkadzała jéj otyłość, trochę pośpiech a nakoniec i gorąco. Augustynowicz widocznie był wymowny, bo panna zatrzymywała się chwilami od śmiechu. Przechodząc koło Szwarca, przymrużył jedno oko co miało znaczyć, że w téj chwili kontent jest ze świata i porządku ziemskiego.

Szwarc pytał Heleny o Augustynowicza.

— Znam go, choć nie wiem jak się nazywa; gdy zmarł Kazimierz widywałam go blizko siebie—potém jakoś mi znikł z oczu.

— Jest to najzdolniejszy urwisz, jakiego znam dorzucił Szwarc. Ale!—mówił mi że kochał się w mojéj pani.

— A ty dla czego mi to mówisz?

— Bez celu—dziwna rzecz jednak jak wszyscy lgną do ciebie.

— Bo też mój drogi Józefie, to jedno przyniosłam z sobą na świat. Nie uwierzysz, jak smutno płynęły mi lata dziecińśtwa. Nie znasz mojéj historyi? Chowałam się w domu zamożnym... gdzie pan domu opiekował się mną jak własném dzieckiem... Po jego śmierci dokuczano mi tam wszelkiemi sposobami, aż nakoniec uciekłam ztamtąd i przyszłam do Kijowa, gdzie jeden bardzo stary i bardzo dobry człowiek wziął mnie w opiekę, mówił mi zawsze Helusiu i pieścił jak córkę rodzoną. Ale potém i on umarł, nie zostawiwszy mi sposobu do życia... Potém poznałam Kazimierza. Zdziwisz się zkąd ja mogłam bywać w klubach studenckich? Wierz mi o mało nie umarłam ze wstydu kiedym tam pierwszy raz weszła — ale czy uwierzysz? — byłam wtedy głodna, parę dni nic już w ustach nie miałam — byłam zziębła. Sama nie wiedziałam co robię i do czego to prowadzi. Wtedy zbliżył się do mnie Kazimierz. Och! nie podobał mi się wówczas:—śmiał się i był wesoły a mnie ciemniało w oczach. Zdawał się być zdziwiony memi łzami — potém zamilkł i usiadł koło mnie, a kiedym znów na niego spojrzała miał łzy w oczach i natychmiast stał się zupełnie inny. Pocałował mnie w rękę i prosił, żebym się uspokoiła. Musiałam mu opowiedzieć wszystko, wszystko. Przyrzekł że będzie pamiętał o mnie jak o siostrze... Jaki byłdobry—prawda? Od chwili jego poznania nie zaznałam już niedostatku. Gdy odchodził pocałował mnie znowu w rękę—ja chcia-

łam toż samo uczynić — serce mi się ścisnęło przycisnęłam rękoma piersi i szczerze zapłakałam. Ach! jakżem go już wtedy kochała! jakżem go kochała!

Helena podniosła oczy w górę; w tych oczach błyszczały wielkie łzy wdzięczności. Była piękna jak natchniona. Szwarc jednak miał wyraz surowy, brwi zsunęły mu się na czole. Myśl, że czczemu wypadkowi, marnemu podobieństwu winien był miłość téj kobiety, posępnym cieniem okryła mu twarz. Potkański inną drogą doszedł do niéj. Porównanie to bolało Szwarca; przypomniał sobie słowa Augustynowicza i milczący prowadził daléj Helenę.

Przyszli na cmentarz. Wśród drzew bielały tam krzyże, kamienie i mogiłki. Miasto zmarłych w cieniu zielonych liści spało w cichéj powadze. Kilka osób błądziło wśród krzyżów— między gałązkami ozwał się niekiedy ptak napół smutno choć wdzięcznie. Gdzie niegdzie przesunęła się postać cmentarnego stróża.

Helena wkrótce znalazła grób Potkańskiego. Była to duża, obwiedziona żelazną kratą mogiła, u stop której wznosił się mały, porosły murawą pagóreczek. Leżał tam Potkański z dzieckiem Heleny. Kilka doniczek z kwiatami zdobiło groby, po bokach rosła rezeda — w ogóle mogiłki czysto a nawet ozdobnie utrzymane, świadczyły o czyjéjś pamięci i czyjéjś starownéj ręce.

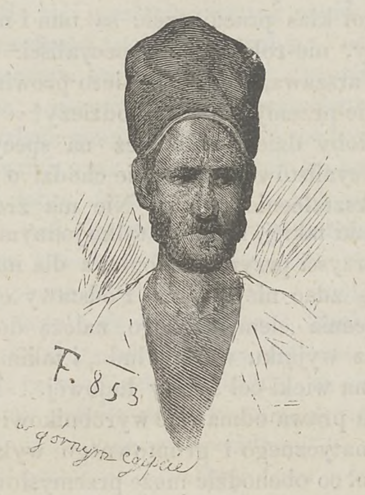
Szwarc zawołał stróża, aby otworzył kratę— Helena klęknęła tam z modlitwą w ustach i łzami w oczach.

— Kto utrzymuje te groby? spytał Szwarc stróża cmentarnego.

— Przychodziła ta pani, przychodził i pan jakiś z długiemi włosami, ale teraz to go i nie widać, mówił stróż.

— On zawsze płacił za kwiaty, on też kazał tu dać kratę.

— Ten pan także już tu mieszka—rok temu jak go pochowali odpowiedział Szwarc.



Typ ludowy z górnego Egiptu.

Stróż kiwnął głową, jakby chciał powiedzić: „I ty tu zamieszkasz".

— Albo to co, proszę pana? W tamtém mieście kłopoty i umartwienia, a tu jak kto przyjedzie, to i leży spokojnie. Ja sobie nieraz myślę: coby ta Panu Bogu przyszło mizerować jeszcze duszę na tamtym świecie? Mało to człek tu ucierpi! *(d. c. n.)*



DZIECIĘ NUBIJSKIE.

# KWESTYA OŚWIATY

## KLASS PRZEMYSŁOWYCH.

*Dokończenie.* (*Ob. Nr. 45*)

Reasumując tedy raz jeszcze powyższe myśli nasze szczegółowiéj projektujemy:

1. Skoro na razie niepodobna zapobiedz smutnemu przymusowi rodziców niezamożnych, zmuszonych dla niedostatku odbierać chłopca ze szkoły, by go oddać w naukę do ludzi: to rzeczą pryncypałów winno być zająć się w tym razie naukowém wykształceniem takich dzieci, a mianowicie, *posyłać je 3 do 4 razy tygodniowo na pół dnia do szkółki jakiéjbądź.* W ten bowiem sposób uczeń mający później uczęszczać także do wyższych klas szkoły miejscowéj, miałby już jakie takie początki elementarne. Rozumie się samo przez się, że w takim razie (ale tylko *w takim!*) wolno będzie pryncypałowi zatrzymać ucznia przez 5 do 6 lat u siebie.

2. Znieść szkoły niedzielne, jako instytucyą najzupełniéj chybiającą swego celu, — a w to miejsce

3. Zreformować z gruntu szkoły miejskie, wedle potrzeb czasu w ogóle a potrzeb przemysłu w szczególe, z uwzględnieniem wszystkich warunków miejscowych.

4. Otworzyć przy nich (nawet w stanie, w jakim się dziś znajdują) po 2 *nowe* klasy czyli

po dwa wyższe kursa młodzieży przemysłowéj, w celu kontynuowania dalszéj nauki.

5. Zaprowadzić przymus i ścisłą kontrollę pomiędzy pryncypałami, aby posyłali nczni swoich do szkół.

6. Wyznaczyć w tym celu trzy razy tygodniowo po pół dnia na naukę szkolną i tyleż wieczorów lub poranków na wygotowanie ćwiczeń szkolnych.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, okazuje się tedy, że nauka mająca się wykładać w tych dwóch wyższych klasach przez nas proponowanych, będzie poprostu *dalszym ciągiem* nauki elementarnéj. Duchowe potrzeby przemysłowca wymagają koniecznie jeszcze po 14-tym roku życia ścisłéj opieki. Niech się atoli nie zdaje przemysłowcom, że tylko przedmioty fachowe, techniczne i inne specyalne wykładać się powinny w tych wyższych kursach szkoły elementarnéj. Na pierwszym planie lokowanoby naturalnie nauki przyrodnicze. Zgoda na to, bo czasy obecne wymagają koniecznie doskonałego obeznania się z tą gałęzią przemysłu i oświaty tegoczesnéj; ale nie sądzę znowu, aby człowiek miał być przeważnie tylko naturalistą w życiu i aby reszta innych żywotnych kierunków nauki jak religia, historya, literatura, rysunek i śpiew miały być tylko dodatkiem... Pomimo naturalistycznego prądu obecnéj chwili, pomimo nieocenionéj użyteczności przyrodoznawstwa, należy w wykształceniu młodzieży nietylko przemysłowéj ale każdéj w ogóle zachować równowagę w stosunkach jednych przedmiotów do drugich. Że więc nauki przyrodnicze są dziś na pierwszym planie oświaty, że naturaliści po za granicami nauk przyrodniczych nie widzą żadnéj innéj racyi bytu, to nie wypływa ztąd, że i szkoła ma trwać także w tym błędzie pedagogicznym. Dla szkoły nie ma lepszych i gorszych przedmiotów, nie ma nowych i starych rzeczy: szkoła winna być instytucyą niezależną zgoła od efemerycznych prądów chwili, ale przytomnie a pieczołowicie wybierać co najlepsze ziarna z postępu i układać je w system nauki wedle praw równowagi. Dla tego nie sądzę, że dobrze radzą ci, co po za obrębem nauk przyrodniczych nie widzą zbawienia dla przemysłowca XIX wieku. Czyż człowiek wykształcony li jednostronnie, nie znający oprócz praw natury i techniki niczego więcéj, zdolen będzie także być członkiem społeczeństwa mającego jak wiadomo także jeszcze inne zadanie do spełnienia? Czyż nie jest konieczną dla młodzieńca umieć poczytać trochę w przeszłości, zwanéj historyą ludzkości? poczytać troche w księgach mowy ojczystéj, w księgach języka i piśmiennictwa własnego i cudzego? Czyż nie warto także umieć podumać czasem nad zadaniem człowieka i stanowiskiem jego w obec ogółu i jednostek? umieć podumać nad swojemi wady, nad charakterem, nad siłą woli i przekonań, nad każdym promykiem nowéj myśli czy z siebie wysnutéj czy zasłyszanéj: słowem umieć nietylko pracować ale i myśleć po ludzku?... Na te pytania nie ma i nie może być dwóch odpowiedzi.

Z myśli naszéj co do rozszerzenia szkoły elementarnéj nie wynika atoli, iżby proponowane przez nas dwie nowe klasy miały być przeznaczone wyłącznie dla młodzieży przemysłowéj i w ogóle dla tych, co mają jakieś szczególne powołanie przed sobą. Przeciwnie. Klassy te mają stać otworem dla wszystkiéj bezwarunkowo młodzieży, a więc i dla młodzieży wyrobniczéj. Każdy ma prawo do światła i bytu uczciwego—ma je więc i syn najuboższego wyrobnika, ma syn drwala, syn stróża, syn piaskarza. W Niemczech poprzeznaczano z razu szkoły takie tylko dla klass przemysłowych, i w tém ciężko ono chybi; naprawiają wprawdzie obecnie jak mogą tę pomyłkę: reformują na gwałt, co trzeba było objąć reformą od razu, lecz jedno pokolenie wyrobników przepadło nieodwołalnie. U nas przy zakładaniu szkół takich należy zwrócić przedewszystkiem uwagę na to, iżby z owoców wyższéj nauki korzystać mogły *wszystkie* pracujące stany: zarówno przemysłowe jak i wyrobnicze. Nie z samych przemysłowców i rzemieślników składa się ogół klas pracujących: są tam i nie-przemysłowcy, nie-rolnicy, nie-specyaliści. Ileż to sama Warszawa, a ileż dopiero prowincya ma takiéj nie-przemysłowéj młodzieży! Błędem więc byłoby dzielić młodzież na specyalistów i nie-specyalistów tam, gdzie chodzi o gruntowne wykształcenie ogółu. Nie ma zresztą nigdzie nauki takiéj, któraby tylko jednym klasom jakieś korzyści przynieść mogła, a dla innych na nicby się zdać nie miała. Podstawy ogólnego wykształcenia elementarnego należą do wszystkich bez wyjątku warstw ludu, i takim też pozostanie na wieki cel szkoły ludowéj. Nie mamy zatém prawa odmawiać wyrobnikowi potrzeby systematycznego i gruntownego wykształcenia w tém, co obchodzić może przemysłowca. Jemu bardziéj niż komukolwiek innemu potrzebną jest ta żywotna strawa; bardziéj on niż kto inny łaknie światła w ciężkim i krwawym znoju; bardziéj jemu aniżeli komukolwiek z nas potrzebną jest duchowa i moralna pomoc szkoły — szkoły mówię, téj jedynéj opiekunki człowieka między tymi helotami pracy powszedniéj. Ani przez myśl nie przejdzie może niejednemu ze spacerujących po Krakowskiém przedmieściu, że indywiduum *vulgo* stróżem zwane, ma także ważne do spełnienia zadanie względem społeczeństwa swego. Czyż więc i ta klassa ludu, na któréj pono najciężéj zawisł przymus pracy ma stać i nadal po za obrębem szkoły o jakiéj mówiliśmy powyżéj.?

Dotąd rozszerzaliśmy się głównie nad sposobami, jak zapobiedz ciemnocie i zastojowi klas przemysłowych — męzkich. Otoż poświęćmy też kilka słów wykształceniu kobiet, skazanych na pracę rękodzielniczą. Konieczność takich szkół elementarnych z dwoma wyższemi kursami jest dla dziewcząt rzeczą naglącą. Dotkniem tu tylko kilku punktów ważniejszych. Za granicą przy zakładaniu szkół podobnych wychodzą ludzie wprawdzie z zasady, że głównie zwracać należy uwagę na przedmioty zdolne podać młodéj kobiecie kwalifikacyą do pracy samodzielnéj, nie zależnéj od żadnych stosunków życia, od żadnych przekonań i skrupułów. Zasada w gruncie zacna i zdrowa--ale nazbyt znowu jednostronna, a w skutkach swych krańcowa, przeskakująca od razu z miary właściwéj do ostateczności. Jak szkoła męzka dla młodzieży przemysłowéj tak też i szkoła dla dziewcząt klass pracujących powinna trzymać się ogólniejszych, szerszych zasad dozwalających rozwijać się normalnie. Najwłaściwszą jest zasada kształcić dziewczęta na istoty przedewszystkiém takie, jakiemi je Bóg stworzył—*na kobiety*, a nie na jakiś rodzaj pseudo-indywiduów, nie mogących nieprzestać być kobietą, a niechcących zostać matką. Est modus in rebus. Nie wątpię, że większa połowa wychowania dziewczęcia na kobietę i matkę jest rzeczą ogniska rodzinnego, ale nie można znowu uwalniać także i szkoły całkowicie od tego zadania. Gdybyśmy zechcieli dziewczę po 14-tym roku życia posyłać wytrwale na wyższe kursa szkoły elementarnéj, ileżby dobrodziejstw na kraj spłynęło?... ileżby nam przybyło kobiet, zdolnych wychowywać umiejętnie swe dzieci! ileżby zyskał na tém nasz przemysł niższy, którego kobiety stoją dziś daleko niżéj od mężczyzn! Bałamucone różnemi głosami opinii, bałamucone złym przykładem klass wyższych, straciły zupełpełnie głowę, i kiedy przyjdzie wychować dzieci nie wiedzą zgoła co i jak począć:—wychowanie odbywa się tu w stanie na wpół dzikim i z temi przymiotami przechodzi ono na następne pokolenie. Dla tego to tak nam szkoły, szkoły dobréj potrzeba, bo to jeszcze jedyny, pewny, bezstronny przesadnik dla kobiet pracujących samodzielnie na chleb powszedni. Matka, obeznana dokładnie z budową i pieczą ciała swego dziecka; matka, któréj wskazano gruntownie i metodycznie, jak czuwać roztropnie nad pierwszemi błyskami rozumu dziecęcego; matka, któréj widnokręg umysłowy sięga daléj nieco po za pranie, gotowanie, zamiatanie i ścieranie pyłów; matka zdolna zrozumieć także odrobinkę piękna, prawdy i szlachectwa duszy, zdolna zaszczepić je także w sercu dziecka: matka taka nawet przy warsztacie lub w ciemnym lochu wyrobnika będzie dla nas jedną z najsilniejszych podpór oświaty.

Na wykształcenie dziewcząt klass pracujących (mniejsza o to, z jakiéj sfery) powinna szkoła elementarna w swych wyższych kursach poświęcić co najlepsze siły. Jeżeli prawdą jest, co mówią ekonomiści o powołaniu kobiety w państwie i rodzinie, że dobrobyt, oświata i potęga narodu zależą od wartości i wykształcenia kobiet, czemuż więc nie starać się wszelkiemi sposoby o to, aby ten pewnik mógł się zamienić w rzeczywistość? Czemuż nie rozszerzyć zakresu nauki elementarnéj — lub nie starać się przynajmniéj zastąpić ją zbiorowemi siły na wzór tych, któreśmy dla niedołęztwa w założeniu pogrzebać musieli? Czyż np. pieniądze zbierane na cele dobroczynne, rozpływające się niepotrzebnie na drobiazg niewarte nawet nazwy jałmużny — czyżby może pewna cząstka kapitałów Towarzystwa Dobroczynności, (*) czyż pośrednictwo i pomoc gorliwa pań zacnych i szlachetnych—czyżby mówię setki innych sposobów wzorowego utrzymania tymczasowéj instytucyi prywatnéj dla klasy dziewcząt pracujących nie dały się zużyć przewybornie na cele takiéj szkoły? Sam Berlin liczy *kilka* takich szkół prywatnych, utrzymywanych groszem zbiorowym i zostających pod protekcyą kobiet wyższych stanów. Jeżeliż się mamy bawić w filantropią, to już rzetelnie i *pożytecznie*. Cóż może być bardziej filantropijnego na świecie, jak myśl szerzenia oświaty między klasą dziewcząt pracujących,?... Zdaje się niejednemu, że wskazawszy młodéj i opuszczonéj dziewczynie kantor kupiecki, bióro telegraficzne, kasztę zecerską, nóż felczerski i tym podobne środki bytu, żeśmy jéj dali wszystko i spełnili nasze zadanie. Dobre to, ale—nie *samo*. Nie koniecznie tylko robotnicą za stołem kupieckim lub biórem telegraficznem, lecz także aniołem-stróżem cnót domowych i oświaty rodzinnéj—pomocą matki, ojca, brata — towarzyszką męża, ogrzewającą go ciepłem serca i przykładem taktu małżeńskiego—matką, zdolną ująć w karby syna krnąbrnego a córce przyświecać szlachetnym pożycia przykładem: taką winna być dziewczyna, taką robotnica nasza.

(*) W téj chwili przychodzi mi na myśl: czyby dotychczasowe *ochronki* Towarzystwa Dobroczynności nie mogły posłużyć za podstawę dla takich szkół żeńskich? Byłby to przewyborny *zawiązek*—na nim możnaby budować daléj. Nawet lokale Towarzystwa dałyby się zużytkować do tych celów; ubyłaby przez to znaczna część kosztów.

A teraz pod koniec jeszcze jedno. Zapyta ktoś, czy po ukończeniu wszystkich kursów elementarnych można *dalszą* naukę młodzieży przemysłowéj uważać jako rzecz skończoną. Otóż zdaje nam się, że nie; raz, że po ukończeniu kursów elementarnych należy rozpocząć dopiero wyższe nauki *specyalne*, jeźli ich kto potrzebuje; powtóre, że nawet i bez tego warunku jest jeszcze wiele powodów do nieprzerywania dalszéj pracy nad sobą. Jeżeli bowiem dobrą i rzetelną będzie nauka kursów elementarnych, to i uczeń stanąwszy na doskonaléj podstawie będzie mógł także daléj kształcić się samodzielnie i pożytecznie. W tym punkcie raz jeszcze napomykam, że szkoła elementarna winna skierować wszystkie swe zasady i środki ku temu jedynie punktowi wychowania, *aby uczeń umiał stać także i nadal o własnych siłach*. Ale i tego niedosyć. Szkoła winna mu pokazać *jak* ma korzystać z owoców nauki i jakich środków ku temu użyć należy. Środkami temi powinny być mianowicie: *książki, odczyty i siła własnych przekonań*. Co dotyczy tych ostatnich, to szkoła powinna przyswajać ucznia wyższych kursów do rozpraw i pogadanek obszernych, wyciągać go (jak to mówią) na słówka, kazać mu spowiadać się szczerze z myśli i przekonań, a jeźli ich nie ma lub nie rozumie, starać się bądź co bądź wytworzyć mu je koniecznie lub co najmniéj podłożyć pod nie grunt umiejętny, bo człowiek bez przekonań jest zerem w społeczeństwie. Podobnież ma się rzecz z kwestyą odczytów. Odczyty, to ważny niezmiernie czynnik oświaty. Niedość wysłuchać prelekcyi publicznéj—na to każdy się zdobędzie—ale *umieć* jéj posłuchać, *umieć* podążyć za nią, *umieć* zdać sobie sprawę z myśli zasłyszanych, *umieć* zdobyć się przytém także na swoje własne przekonanie: oto przymioty które sięgają właśnie w zadanie wyższych kursów szkoły elementarnéj. Przecież z kwestyą odczytów związana jest tak ściśle dalsza nauka młodzieży przemysłowéj! Po ukończeniu kursów elementarnych, w latach kiedy młodzi ci ludzie zasiadają do pracy fachowéj, odczyty staną się dla nich jedynym uniwersytetem, jedyną instytucyą, otwartą dla nich każdéj chwili! Że nawet odczyty takie mogłyby funkcyonować także na prowincyi, o tém wątpić nie wolno i o tém ludzie naukowi na prowincyi seryo dzisiaj myśleć powinni. Z równą troskliwością winna szkoła, a za nią przedewszystkiém *ogół* światły dbać szczególniéj o to, aby młódź pracująca umiała czytać książki i pisma peryodyczne, jeźli sobie nie życzym, aby to, co się w szkole zdobyło, nie poszło w rozsypkę a przez to znowu połowa młodzieży naszéj nie pozostała po za obrębem postępu. Trudno opisać błogosławione skutki dla społeczeńswa, kiedy młódź przemysłowa umie korzystać z takich środków oświaty, jakiemi są książki i pisma peryodyczne; to też o doniosłości téj kwestyi pomówim jeszcze niejednokrotnie w naszém czasopiśmie.

To są mniéj więcéj ważniejsze punkta, na któreśmy pragnęli dzisiaj zwrócić uwagę czytelników, bo nie wątpimy, że pomiędzy czytelnikami Wieńca znajdzie się niejeden człowiek czynnéj inicyatywy i gorącéj chęci dźwigania oświaty między klasami pracującemi. Niejedno się tu pominęło, niejedno pominąć wypadło, o niejednêm się może zapomniało. Pominęliśmy tu umyślnie między innemi kwestyą kłopotów, mogących się pojawić w projektowanéj przez nas reformie szkół elementarnych na korzyść przemysłu, pominęliśmy tudzież kwestyą kosztów i ciężarów publicznych, aleśmy nie pominęli żadnego szczegółu, dotyczącego zobopólnéj pracy ogółu nad podźwignieniem naszéj oświaty.

Postawiliśmy kwestyą; niechże ją każdy jak może wyczerpuje po swojemu.

A teraz odzywamy się raz jeszcze do ludzi stojących na czele naszego przemysłu:

Czas już byście pomyśleli nad tém, jak zaopatrzeć młodzież waszą w te wszystkie środki oświaty, w jakie sami opływacie do zbytku; postarajcie się dla niéj o rzetelny wiatyk nauki i umoralnienia na drogę życia tak twardego i na tyle niebezpieczeństw narażonego. Nie z samém dłutem i heblem, a rozumem i nauką wszechstronną, sercem i szlachetniejszemi ducha popędy niech staje do walki wasz uczeń. Niech się nauczy wyróżniać dobre od złego, piękno od prostactwa; niech i nad głową, nad warsztatem i kantorem jego świeci słońce oświaty, a w blasku jego niechże pozna w sobie *człowieka*—niechże też raz w życiu uczuje się człowiekiem. Nauka niechże będzie dla niego ową krynicą cudowną, z któréjby mógł czerpać ochłodę każdéj chwili, gdyby mu praca groziła przedwczesną zgrzybiałością. Ona winna mu być zwierciadłem, w któremby się mógł przejrzeć i policzyć swe wady ale już nietylko w obec siebie samego lecz także w obec bliźniego swego i społeczeństwa, do którego należy. Ona powinna mu niedać ostygnąć w pracy, ale i niedać jéj się pochłonąć.

*August Jeske.*

# GENEZIS
## KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

*Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 45).*

Oprócz szczątków po których mniéj lub więcéj rozpoznać można że są odłamkami jakiejś budowli dramatycznéj, Meinecke w zbiorze swym pomieścił z ośmset pojedynczo wyrwanych zdań jednookresowych Menandra, wyglądających na maksymy jakiegoś filozofa-moralisty, o których ani domyśleć się można przez kogo i w jakich okolicznościach były wypowiedziane. W zdaniach tych gdzieniegdzie tylko przebija widoczna ironia lub umyślny paradoks, ale w ogólności wzięte, są one tak wysokiego życiowego znaczenia i tak szlachetną bijące prawdą, że same przez się stanowią pewien kodeks moralny i obyczajowy, którego największą część i dzisiejsze pojęcia o prawach i obowiązkach człowieka przyjęłyby bezwarunkowo. Co większa, jest wielkie podejrzenie że Menander musiał znać dzisiejsze przysłowia polskie i przyswajał je sobie tylko w nieco zmienionéj formie. I tak, Polacy powiadają: maleparta— do czarta; a on to wyraża: zysk nieprawy, strata niezawodna. My powiadamy: lepszy łut szczęścia niż funt rozumu; a on tę nieco sklepową formę przekształca na poetyczniejszą, twierdząc że: lepsza jedna kropla szczęścia niż cała beczka zręczności. To też i nie dziwimy się wcale spotykając się u niego ze zdaniami przypominającemi dziesięcioro przykazań, jak: „Czcij rodzice twe, a możesz spodziewać się szczęścia."

Otoż w szergu tych luźnych pojedynczych zdań, znajdujemy wyrażenia o bóstwie cechujące umysł nietylko nadzwyczaj religijny, ale często monoteistyczny, jak: „Względem dobrych Bóg sam także okazuje się dobrym... Najbogatszą ofiarą jaką możesz złożyć Bogu jest pobożność"; i t. p. Lecz co każdego może wprawić w zdumienie, to myśl skreślona prawie literalnie tak jak brzmi jedna z podstaw religii chrześciańskich: „Uważaj bojaźń Boga za początek wszystkiego. Nie dziwimy się przeto, owszem to nam objaśnia, dlaczego pierwsi inicyatorowie wiary chrześciańskiéj, w fazie rozumowania, cytowali go w obec ludu. Chcieli oni dać mu poznać że zasady które głoszą nie są tak obce sumieniowi ogółu, lecz że już głucho odzywały się w nim przez usta pojedynczych jego członków.

Gdyby nie czystość źródeł z których czerpał Meineke i niezaprzeczoność cytat stwierdzających źródła, trudno byłoby nam dziś dać wiarę podobnym zejściom. Wprawdzie tenże sam zbiór podaje znów na innem miejscu *bogi* zamiast *Boga*, co jest tylko dowodem rozrzuconości myśli poety o tym przedmiocie. Jak mało w pewnym punkcie zmieniły się rzeczy od czasów Menandra, przytoczymy jeszcze, ironiczną rozumie się, jego definicyę miejscowego bóstwa, którego dynastya do dziś nie wygasła:—„O ty, najwyższe wieku naszego bożyszcze!... woła on;—Bezwstydziel... jeżeli wolno cię bożyszczem nazwać... ale tak winienem ci tę nazwę, skoro dziś ją nadają panującéj potędze: dokądże ty już się nie posunąłeś, a gdzie jeszcze nie gotoweś zajść!"

Wyraźniejszy niż o bóztwie, pozostał w szczątkach Menandra ślad pojęć jego o człowieku: nędza, znikomość i nicość, (*pulvis et umbra sumus*) nie bez jakiejś głuchéj jednak nieśmiertelności. Pojęcia te dają się mniéj więcéj zamknąć w następującym urywku:—„Czy chcesz rozejrzeć się w tém czem jesteś istotnie? Spojrzyj na pomniki grobowe które spotykasz na drodze. Cóż one zawierają? kości tylko i trochę lekkiego popiołu. Byli to kiedyś królowie, władcy, mędrcy, ludzie dumni z rodu i dostatków, z chwały i piękności. Ale czas nic z tego wszystkiego nie oszczędził. Wszyscy śmiertelni, piekła mają za ostatnią i wspólną siedzibę. Patrz, i poznaj się czem jesteś istotnie." Było to w starożytności pojęcie najpowszechniejsze i Menander ani na jotę odeń się nie oddala. Chrześciaństwo pojęcie indywidualnéj nieśmiertelności postawiło wyraźnie, określiło je i usubtelniło do najwyższego stopnia, jako dogmat wiary, nie jako wywód ścisły; dzisiaj znów, kierunek jaki przybierają nauki przyrodnicze, stawia ten dogmat w stanie—jak powiadają,—nie do pogodzenia z rezultatem badań: czyli rzeczy zaczynają wracać do starożytnego porządku chwiejności, niepewności i niepokoju, dopóki jakiś nowy fakt górujący lub zdający się górować nad wszelkiemi wątpliwościami, nie porwie za sobą umysłów w jednę albo w drugą stronę... Czy na zawsze? To nowa wątpliwość. Ta tylko zachodzi różnica, że dzisiejsi Epikurejczycy zbrojni są w materyał doświadczalny i naukowy, na którym dawniejszym zbywało.

* *

Jest wielka różnica pomiędzy odgadywaniem natury i postaci zwierzęcia z jednéj kości szczękowéj, a kręceniem bicza z piasku. Tą ostatnią byłoby to robotą, gdyby ktoś chciał koniecznie dochodzić do odtworzenia artystycznéj całości typów Menandrowych. Myśmy usiłowali, i to wcielając do pracy naszéj część spotrzeżeń Wilchelma Guizota, wykazać tylko *ducha* i *dążności* artystyczne ostatniego zwrotu greckiéj komedyi, która, razem z filozofią neoplatońską była téż ostatnim testamentem, ostatnią spuścizną helleńskiéj muzy na rzecz cywilizacyi powszechnéj. Po niéj wielka twórczość usypia u stóp Helikonu, i Grecya koleją z pod panowania Macedońskiego podchodzi pod władzę surowych Rzymian. Grecy nie zaniechali jeszcze pracy umysłowéj: filozofują, malują i rzeźbią, usłu-

gi swe poświęcając zwycięzcom, którzy radzi głosić się ich uczniami.

Grecy pod panowaniem królów pochodzenia Macedońskiego, utracili tylko ten ludowy samorząd o który tak zacięcie ubiegali się od zwalenia władzy Pizystrata; ale wreszcie w ich politycznym bycie nic się tak dalece nie zmieniło. Macedonowie, owszem od samego Aleksandra Wielkiego stali się najsilniejszemi propagatorami idei greckich: drogę utorowawszy sobie orężem, zgreczyli znaczną część Azyi po Eufrat i Tyger przez Antiochów, zgreczyli Egipt przez Ptolomeuszów. Inaczéj stało się kiedy znaki rzymskie zatknięto na Akropolu: wtedy Grecya zamieniła się w prostą prowincyę rzymską, a byt jéj polityczny ustał zupełnie.

Zwycięzcy jednak, otrząsłszy się z pierwszéj surowizny i dzikości, która wiodła ich nawet do zniszczenia zrazu pomników sztuki greckiéj, pociągnięci czy to krwią plemienną, czy zbliżeniem języka i religii, zaczęli zwolna przejmować obyczaj Grecyi i jéj cywilizacyę. Wtedy w liczbie innych czynników cywilizacyjnych, przyszła w surowéj Romie koléj i na teatr.

Komedyopisarze rzymscy przyjęli od Greków gotową formę komedyi i jéj temata. Nie widać ani z Cycerona ani z Kwintyliusza, jedynego estetyka rzymskiego, czy Rzymianie owych czasów zastanawiali się nad różnicami trzech zwrotów komedyi greckiéj, i prawdopodobnie nie przyszło im to do głowy. Nie możemy też sądzić o ile i w jaki sposób wszyscy komedyopisarze rzymscy korzystali z wzorów greckich, gdyż dwóch ich tylko dzieła dochowały się w pewnéj całości, a temi są Plaut i Terencyusz.

Z dawniejszego z nich, to jest z Plauta, nie widać znowu ażeby on zaczynał *ab ovo*, to jest na sposób arystofaniczny, od satyry i pamfletu,— a wreszcie i obyczaje społeczne do tego nie upoważniały. Z senatem rzymskim, z poważnemi i srogiemi centumwirami, nie taka była sprawa jak z agorą ateńską: prawo wzięłoby się surowo do rozpustnego wyśmiewacza. Plaut był to człowiek z ludu, pozostawał w ścisłych stosunkach z klassą pracującą, któréj poznawszy obyczaje, brał je za przedmiot do swych komedyi. Nigdy on nie oddalił się od wpływu komedyopisarzy greckich, pracował na ich gruncie, tonem i manierą zbliżając się więcéj do wzorów komedyi średniéj, ale jednocześnie zasilał się szczególniéj materyałem podawanym mu przez komedyę nową, z któréj przejął nawet pewne wyrazy i zwroty. Ale cały materyał zapożyczony przetopił na sposób narodowy i dzieło swe wypełnił ludowym dowcipem który nam często roświeca wewnętrzne życie Romy.

Terencyusz, przeciwnie, jest znawcą i poetą klass wyższych. Ogładniejszy i w sposobie traktowania wykwintniejszy od Plauta, jest też od niego mniéj oryginalnym. Ten w zawodzie swym całkiem oddaje się pod wpływ nowéj komedyi greckiéj tak, że nie tylko już bierze z niéj materyę i formę, ale wprost nawet tłómaczy Menandra, i dwie jego komedye, które zazwyczaj bywały krótkie, sztukuje w jednę.

Tym to sposobem komedya grecka zapanowała w Rzymie razem z innemi sztukami wyzwolonemi, które coraz daléj i daléj rozszerzają myśl grecką na skrzydłach orłów rzymskich ku zachodowi, jak niegdyś cała myśl grecka szła na wschód w ślad za zwycięzkiemi legionami Macedonów. *(d. n.)*



ŹRÓDŁO MOJŻESZA W ELIM NIEDALEKO SUEZU.

## ZARYSY EGIPTU.

1. Piramidy. — 2. Świątynie i pałace królewskie. — 3. Grobowce mahometańskie. — 4. Lud.

### IV. LUD.

Prawdziwéj starożytnéj ludności egipskiéj trzy jeszcze przechowały się szczepy, jak dawniéj tak i dziś jeszcze dzielące się na dwa główne, na właściwych Egipcyan zamieszkujących Egipt dolny od Teb do ujścia Nilu, i na Nubijczyków powyżéj Teb osiedlonych.

Właściwi Egipcyanie obecnie przez Turków ogólném mianem Fellahów odróżniani od panującego rodu arabskiego, dzielą się jeszcze na dwie gruppy, z których jedna w swéj nazwie rodowéj Koptów, zachowała ślad dawnego imienia z greckа brzmiącego Giptos, druga zaś stanowiąca przeważną liczebnie połowę egipskiéj ludności, oprócz typu narodowego a w części i ubioru, nic już z praojcami swymi nie ma wspólnego — zatraciła bowiem wyznanie dawne religijne i język.

Nubijczycy, czarni synowie piaszczystych rozłogów, najeżonych ciemnemi granitowemi skałami, są jeszcze w zupełności tacy sami jakimi ich historya przed tysiącami lat znała: nawpół dzikimi synami natury. Bez odzienia prawie i bez mieszkania obchodzą się nubijskie zwłaszcza dzieci, gromadkami snujące się jak czarne mrówki po jaskrawo żółtych piaszczystych wybrzeżach nilowych. Czy to domową zajęte pracą, miele-

*Dalszy ciąg w dodatku.*

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

# DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 46-go.

niem zboża na żarnach, noszeniem wody, czy igrające i w pław puszczające się po głębokim nurcie, są obrazem prostoty, naiwności i pierwotności uobyczajenia, dla którego zbadania podróżnicy afrykańscy z innéj strony od zachodnich wybrzeży docierają.

Załączona tu w rycinie postać dziewoi egipskiéj opartéj na dzbanie, wykonana podług obrazu jednego ze znakomitych artystów francuzkich poświęcających się studyom malarskim Wschodu, Landella, w czasie wystawy powszechnéj r. 1867 budziła powszechne zajęcie. Prosty tytuł tego obrazu *Femme fellah*, zgodny jest ze skromnością przedmiotu, a zarazem pod tą bezpretensyonalną nazwą ukrywa całą ogromną skalę wspomnień i nieopisanego uroczego wrażenia, jakie się z téj pojedynczéj postaci otrzymuje.

Egipt dawny, religijny, spokojny, wielki dziełami sztuki swéj, zazdrosny o swe tradycye i obyczaje, patrzy na nas dziś przez tę malowniczo ustrojoną dziewicę. Rysy twarzy pociągłe o pięknie zatoczonym owalu, podłużne oczy o spojrzeniu łagodném a głębokiém, ubiór głowy jakby wzorowany na jednym z tych tysiąców sfinksów, które tworzyły drogi u wejścia do świątyń i pałaców królewskich: słowem, żywe to przedłużenie starych Egipskich tradycyi.

Aby to zestawienie uczynić wybitniejszém, zamieszczamy tu obok głowę pochodzącą ze starożytnych płaskorzeźb egipskich i jeden jeszcze typ męzki dzisiajszego Fellaha malowany z natury przez artystę naszego, Lwowianina Tepę.

Pan Franciszek Tepa jest podobno jedynym z rodaków naszych który Egipt z ołówkiem w ręku i szkatułką malarską lat temu 20 przebiegł. W tece tego artysty znalazłoby się jeszcze zapewne nie mało malowniczych wspomnień z owéj podróży.

Jak zresztą cały ten kraj odwieczny w wielu względach nie uległ zmianom, jak dawne świadectwa zwłaszcza biblijne sprawdzają się na nim na dowód posłużyć mogą w blizkości Suezu znajdujące się źródła Mojżesza, gdzie do dziś dnia liczba palm otaczających tę oazę taż sama wzrostem, jaką czytamy w Księdze II Mojżesza w Rozdziale XV, wierszu 27. „I przyszli do Elim, gdzie było dwanaście źródeł wód i siedmdziesiąt palm, i położyli się tam obozem nad wodami." Takie obozy nad temiż wodami pod temiż palmami po tylu tysiącach lat rozkładają się w tém pamiętném miejscu.

---

## KRONIKA.

Czytelniku,—powiem Ci, jeśli Cię to cokolwiek obchodzić może, że jestem w różowém usposobieniu. Myślisz może, że to wpływ wiosny, i że się znów spotkasz z majowym liryzmem cechującym przeszłą moją pogadankę? Bynajmniej. Czuję się rozweselonym, bo się stał fakt którego wprawdzie oddawna się spodziewałem, ale który niemniéj, o ile to sprawdzić mogłem, ma zawsze własność wzbudzania dobrego humoru.

Rozgniewał się na nas Przegląd Tygodniowy! Może szanowny czytelniku nie zdajesz sobie dobrze sprawy ze związku jaki istnieć może między olimpijskiém brwi zmarszczeniem Przeglądu, a pogodnym uśmiechem kronikarza „Wieńca"? Otóż trzeba Ci wiedzieć, że mnie osobiście milczenie i wyczekująca pozycya Przeglądu względem „Wieńca", zastanawiały po trochu, nasuwając na myśl to znane Ci zapewne czytelniku zapytanie niemieckiego jakiegoś profesora, który dowiedziawszy się że jego odczyt podobał się kobietom, rzekł do zwiastującego mu tę nowinę.

— Do licha, czybym jakie głupstwo powiedział?

*Mutatis mutandis* stosunek tu dość analogiczny zachodzi; różnica tylko taka że „Wieniec" nie wzdycha do stanowiska nauczyciela ludzkości, że Przegląd Tygodniowy podobny jest chyba do bardzo brzydkiéj kobiety,—i że zamiast podobania się, którego Wieniec, nigdy się nie lękał,— podstawić należy tylko owo zagadkowe milczenie obserwowane aż do wyjścia na jaw 40 numerów „Wieńca", a przerwane w chwili w któréj Przegląd wyczytał w nim parę prawd w smaku nie zbyt do miodu zbliżonych. Przyzna każdy, że chwila dobrze była wybrana.

Wybuchła nareszcie mina tak strategicznie podłożona, żeby gruzy zasypać mogły nietylko „Wieniec" ale i Encyklopedyę... inaczéj doprawdy trudno sobie wytłómaczć tę elegancką wycieczkę skierowaną przeciwko firmie prowadzącéj oba wydawnictwa, i wydrukowaną aż w dwóch narzeczach; jedne bowiem wydania tego samego N-ru Przeglądu odzywają się do czytelników rozmiłowanych w języku prospektowo-reklamowym, którego tajemnicę pisemko to wyłącznie posiada,—drugie zredagowane są w tym jędrnym żargonie targowo-staromiejskim, którym Przegląd włada po mistrzowsku, trafiając nim na pewne do umysłu i przekonania mass, zazwyczaj niezbyt głęboko rzeczy biorących.

Zaznaczywszy skwapliwie ten fakt *dwoistości* Przeglądu, dowodzący dbałości Redakcyi o poznajomienie z *kierunkiem, sztandarem i ideami* „Przeglądu" wszystkich warstw naszego społeczeństwa, powiem Ci czytelniku co wyczytałem w edycyi przeznaczonéj dla usposobień wybredniejszych, bo taką, oczyszczoną z szekspirowskich dodatków, nadesłała nam Redakcya Przeglądu.

Dowiedziałem się tedy z „Przeglądu Tygodniowego," że pismo, którego mam zaszczyt być kronikarzem, jest *zerem*, że wprawdzie zamieściło ono kilka dobrych artykułów, ale wartość tych prac, to tylko zasługa piszących współpracowników (o loiko indukcyjna i dedukcyjna! o godny zazdrości Millu jakichże masz adeptów!) Dalej gniewa się Przegląd na „Wieniec" że „to tylko potrafi co się da kupić." W tym punkcie czytelniku czuję się pobitym... istotnie muszę Ci powiedzieć pod sekretem, że „Wieniec" nie lubi rozporządzać tém czego *nie kupił* i nie zwykł pracy ludzkiéj wyzyskiwać. Jest to błąd może w oczach Przeglądu,—ale o tyle usprawiedliwiony, że nie uskarżają się nań współpracownicy.... ci sami współpracownicy którym „Przegląd" przyznaje, że czasem uda im się to i owo. Srożyją się nareszcie bardzo zabawnie „Przegląd" że siły w „Wieńcu" nie są skupione „pod tchnieniem życia," że nieposługują żadnemu sztandarowi... alež na Boga sam ten fakt że nie są one do *kupienia* dla „Przeglądu" mimo „żywotności jego tchnienia", mimo szychowych bawidełek które błyszczą na jego chorągiewce zszytéj ze strzępków różnych wielkich i małych sztandarów,—fakt ten, wszak prawda czytelniku, określa już naturę tych sił, równie jak cele do których są skierowane. W konkluzyi czytelniku dowiesz się że „Przegląd" obsiewa i piele jakąś niwę Pańską. Mówię jakąś, bo pan to snać bardzo doczesny i wcale nie ewangeliczny, u którego siejbą trudni się przegląd tygodniowy... pan któremu „Wieniec" służyć nie chce nie posiadając stosownego do niwy ziarna. „Wieniec" nie zaopatrzył się w zasiew pół-nauki, w ziarno niedojrzałych hypotez, które podkopując w powszechności kredyt, w istotną wiedzę, wprowadzają do nieskrystalizowanych pojęć młodzieży systemata biologiczne zamiast zasad etycznych,—teoryę nieodpowiedzialności zamiast poczucia obowiązków, kosmopolityzm, zamiast solidarności ze społecznością w któréj się zrodziło, wzrosło i żyje. Niechajże sobie sieje „Przegląd" na owéj „pańskiéj niwie"; najszczęśliwszym na niej plonem będzie zapewne obfitość tego... co to się ani sieje, ani zbiera, ale samo wschodzi... A i pleć niech Przegląd nie zapomina... błędów ortograficznych gramatycznych... i innych.

Jeżeli jesteś czytelniku amatorem rekapitulacyj i streszczeń, mogę dla twéj dogodności sformułować następujący pewnik:

„Przegląd się na nas gniewa bo my *chcemy tego czego on nie chce*, a co ważniejsza *nie chcemy tego czego on pragnie*. I oto nasza barwa... i oto powód anatemy cholerycznego pisemka, któremu kronikarz zawdzięcza chwilę nie zamąconego niczem dobrego humoru.

* * *

„Każde światło ma cienie, każde ziarno plewy" od tych słów zaczyna „Przegląd Tygodniowy" swoją przeciwko „Wieńcowi" filipikę — my na nich skończymy, a załatwiwszy się tym sposobem z cieniami, z przyjemnością zwrócimy oczy ku jasnéj stronie działalności literackiéj Warszawy. Pięknym téj działalności symptomatem są artykuły zamieszczone w „Opiekunie Domowym" od czasu przejścia tego pisma pod nową redakcyę. Urzeczywistniając obietnicę w tytule zawartą „Opiekun" przybiera kierunek przeważnie pedagogiczny, i ku takiemu celowi wychowawczemu zdąża powoli, systematycznie poważnie, bez prospektowych grzechotek i brząkadełek, z miłością do społeczeństwa w którém budować nie zaś niszczyć zamierza. Artykuł p. t. „Dom i szkoła" jest tego najwymowniejszym dowodem. Autor określa tu stosunek tych dwóch najpotężniejszych czynników, wychowawczych widzi w nim anormalność, i wkłada na dom obowiązki szafarza pewnych prawd, ktorych szkoła nauczyć nie może „Szkoła, pisze autor, daje wiedzę bezbarwną, należy nadać jéj kolor,—zimną, należy ją ogrzać poczuciem obowiązków społecznych i czarami temi tak ją zakląć, by w dalszém działaniu dziecka nigdy jéj z oczów nie tracił i w każdym czynie czuł się jednostką silną, nie zapominając o obowiązkach względem najbliższego otoczenia." Słowa te rekomendujemy do wyuczenia się na pamięć obsiewaczom téj „niwy pańskiéj" o któréj, z przeproszeniem Twym czytelniku, za długo może rozpisaliśmy się, a rekomendujemy dla tego że u nas oprócz domu, prassa krajowa ważne ma w systemacie wychowawczym zadanie. Ma ona nie tyle może uganiać się za nauką o ile stać na straży sumienia i uczciwości... sztandaru, pod który bez względu na te lub owe obozy naukowe grupować się winny wszystkie siły umysłowe w naszém społeczeństwie. Wtedy tylko każdy członek tego społeczeństwa łatwo przejmie się wybornemi radami podanemi przez autora artykułu „Nasze grzechy" w „Opiekunie domowym"—„ażebyśmy wprawiali się w oddawanie słuszności każdemu, na swoje przedewszystkiem wady pilne zwracając oko i pamiętali że

tylko zachowawczość obok postępu, miłość wszystkich ludzi obok polegania na własnych wyłącznie siłach, pokora w duchu obok zachowania godności charakteru,—zrobią nam to że przy wszelkiéj nędzy naszéj nie stracimy i bez uszczerbku przekażemy następcom jedyny, najdroższy skarb każdego... *honor*.“

* * *

Lista „naszych grzechów” nie dałaby się wyczerpać i w najdłuższym szeregu artykułów dziennikarskich, my czytelniku pomówiemy teraz o jednym, którego właśnie „dom“ najczęściéj i najuporniéj się dopuszcza. Co zdawałoby się łatwiejszém dla domu jak dopilnowanie, ażeby dziecko czysto mówiło językiem, którym mówią jego rodzice?... Wielka rzecz powiesz! godzina dziennie gramatyki,—podsuwanie stosownych do stopnia rozwoju dziecięcego książek polskich, oczyszczanie mowy z obcych naleciałości, zmuszanie do częstego pisywania w języku rodzinnym z pilném przestrzeganiem aby forma w któréj się myśli wyrażają odpowiadała duchowi tego języka... oto wszystko. Rzecz to codziennego bardzo drobnego wysiłku... Rzecz któraby się dała przeprowadzić, choćby kosztem godziny urwanéj zapamiętałym studyom nad językami obcemi... Zapewne. Tymczasem proszę cię czytelniku przejdź się po ulicach, po saskim ogrodzie, w miejscach gdzie przyszłe pociechy nasze swobodnie między sobą gwarzą. Słuchasz... to znajome ci wyrazy... przysłuchujesz się jeszcze i natrafiasz na takie nagłe zapytania

— Jakże się to po polsku nazywa?

Następuje małe zamięszanie... w końcu wyraz francuzki, niemiecki lub inny ratuje z kłopołu tych wesołych polyglotów, a tobie przychodzi na myśl zapytanie:

— Czyje też to dzieci?

Ja ci na to odpowiem. Niedawno w mojéj obecności pewna bardzo poważna dama, czytając patryotyczne wymysły jakiegoś niemca na polski język i jego surowe dźwięki, zawołała z oburzeniem nie do naśladowania.

— *Le barbare!... qui n'est pas en état, d'apprecier les charmes de notre belle langue!*

Nie prawdaż że to charakterystyczne?... Otóż z takich matek czytelniku takie bywają dzieci.

* * *

I to nie tylko tu w Warszawie — prowincya ciekawe nam tego dostarcza dowody. Posłuchajmy co o tem pisze korrespondent nasz z nad Pilicy, który od czasu do czasu zasila nas spostrzeżeniami nad życiem zamieszkiwanych przez siebie okolic. „W ogóle biorąc są słowa korrespondenta, stan umysłowy i moralny klassy przedstawiającéj intelligencyę i własność na prowincyi, jest zacofany i zaniedbany: jeżeli są zaszczytne wyjątki to chyba bardzo nieliczne. Przechodząc do tego, do czego się najbliżéj dotykam t. j. do wychowania dzieci, przyznać muszę że jest ono po większéj części albo zaniedbane, albo jak najniedołężniéj prowadzone, tak że trudno wróżyć, żeby z podobnie wychowanego pokolenia, kraj mógł pożytek jaki osiągnąć”. Dziewczęta szczególniéj zdaniem korrespondenta, są ofiarami cudzoziemczyzny w wychowaniu, rodzaju choroby zakażającéj całą zamożniejszą klassę obywateli ziemskich, „Są domy, pisze on, w których pod karą nie wolno jest dzieciom odezwać się inaczéj jak po francuzku: po polsku mogą tylko mówić do sług, nic więc dziwnego że rodowitym językiem mówią gorzéj niż obcym i kaleczą go niemiłosiernie prowincyonalizmami i najgminniejszemi wyrażeniami. Gdym się przed jedną damą dziwił takiemu zaniedbaniu, powiedziała mi bardzo naiwnie, że dzieci tylko od sług nauczyły się po polsku. Poznałem chłopca 10 czy 11 letniego, który chwalił się przedemną, że po francuzku lepiéj mówi niż po polsku“... Ale dość już cytat, wszak prawda czytelniku... ubawiliśmy się tak dobrze z początku... a tu jakoś ni z tego ni z owego, żółć zakipiała... Nie ma innéj rady... idźmy do Saskiego ogrodu napić się wód mineralnych.

* * *

Bo leczysz się zapewne czytelniku, połykając codzień kilka szklanek natury zbutelkowanéj, zapieczętowanéj i etykietowanéj, lub też lejąc w siebie Maryenbady, Karlsbady — na sposób warszawski przygotowane. Któż się zresztą dziś nie leczy? Nie wiem doprawdy czy to cecha wieku mającego we wszystkich swoich objawach coś patalogicznego,—ale ludzi zdrowych nie widać dziś prawie u nas—a choroba w najrozmaitszych formach rozwielmożniła się na dobre. Nie licząc już pewnych stałych kategoryj cierpień które zawsze ludzkość trapiły, jesteśmy zdaniem lekarzy od lat kilkunastu ofiarami chorób nie dających się podciągnąć pod żadną ściśle określoną rubrykę, i wygodnie przezwanych nerwowemi. Gdzie źródło tych perturbacyj których objawy zmieniają się i kombinują w sposób prawie nie odgadniony?... konsyliarze kiwają głowami powtarzając:

— Nerwy, mości dobrodzieju, nerwy.

Kronikarz zaś, gdyby mu tylko uchodziło filozofowanie, możeby się i odważył na hipotezę: że stan ten anormalny naszego organizmu fizycznego, jest następstwem posuniętego do krańcowości egotyzmu w życiu duchowem. Tak się przyzwyczajamy ściągać wszystko do siebie, do naszéj osobistości, tak zewnątrz nas nic nie widzimy, tak z niczem nie chcemy mieć nic wspólnego,—że owo *ja* nasze ubóstwione, wyspekulowane w filozofii ku pożytkowi praktycznego egoizmu,—delikatnieje, subtelnieje, rafinuje się do chorobliwości, kurcząc się na każdy ostrzejszy wpływ wewnętrzny, marniejąc w dziecinnych drażliwościach przy każdem zetknięciu z silniejszem tchnieniem życia. Czy trocha soli mineralnéj w wodzie rozpuszczonéj wiele na to pomoże? Doprawdy nie wiem. Skuteczniejszém by może było odczucie solidarności z tém wszystkiem co nas otacza co wspólnem z nami żyje życiem; oddziałałoby to na ustrój moralny równie orzeźwiająco jak zaczerpnięcie pełną piersią powietrza przesyconego balsamicznemi woniami wiosennéj natury oddziaływała na organizm fizyczny. Receptę te jednak czytelniku zachowaj przy sobie, bo i tak niktby za nią nie poszedł. Łatwiéj przecie wmusić w siebie codziennie kilka kubków mikstury. Zresztą czy to picie wód nie daje na kilka tygodni pewnéj dystyngowanéj cechy odrębności? Rozkoszować się powabami lata, korzystać z jego darów, jeść w sposób ordynarny owoce kiedy pora na to,—potrafi byle jaka zwykła natura; ale spożyć poziomkę lub wiśnię pokryjomu, popić ją jakimś *badem* i potém... umrzeć... *cela vous donne du relief* jak powiadają warszawscy paryżanie; to nadaje piciu wód *a very fashionable excitement*, jak utrzymują gentlemany z saskiego ogrodu.

* * *

A ten biedny saski ogród, jak mu krótko pozostawiono rozkoszną swobodę natury! Zaledwie w drżeniach miłosnego uścisku wiosny pozbył się pierwszego kwiecia, zaledwie ciemniejszy odcień szmaragdu zabarwił dziewiczą przejrzystość liścia, kiedy przyjechała gromada ludzi z wozami, piłami, toporami i świderkami, i złożywszy co dziesięć kroków kupę desek, bali, tarcic, łat i t. p. efektów, rozpoczęła swoją dobroczynną architekturę. I powstały wśród zieleni białe, suche szkielety filantropii, wyciągający ku przechodniowi długie swoje ramiona, i wołając o każdéj porze dnia i nocy: Człowieku, dwie rzeczy nie miną cię na tym padole płaczu: śmierć, i loterya fantowa.

Doprawdy czytelniku gdybyśmy tak z tobą pomyśleli nad źródłem dochodu, któryby uwolnił ogród od tego corocznego najścia budowniczych miłosierdzia? Ktoś tam proponował podatek od trenów u sukien kobiecych... Jestem pewny że autor projektu jest kawalerem. Jakto, płacić w materyi kilkołokciowy haracz od każdéj nowéj sukni, i jeszcze składać podatek od tego coby się z wielką chęcią własnemi rękami obcięło? Jeżeli kto z powodu trenów powinien taką taksę uiszczać, to tylko okuliści, którym liczba pacyentów z oczami zrujnowanemi kurzem wzrosła, o 10%. A zresztą czytelniku czyż w strojach damskich nie widzisz wielkiego zwrotu ku praktyczności i ku prostocie! Cóż powiesz na przykład o sukniach z płótna rewańtuchowego tak ślicznie wyglądających! Skromne to i niekosztowne, — wprawdzie przybory muszą być z prawdziwych koronek,—ale to drobnostka. Wrazie wyjścia z mody, z sukni robią się story do okien,—a koronki przydadzą się do każdego ubrania. Jeśli jeszcze przyjmie się dowcipny pomysł kapelusza z szyszek sosnowych, wprowadzony już w Nowéj-Aleksandryi, według doniesienia korrespondenta do Kuryera Lubelskiego, w takim razie mężowie możecie spać spokojnie. Ubior ten będzie najwymowniéjszém potwierdzeniem pewnika że nic w naturze nie ginie—bo i kapelusz taki przestawszy służyć za pokrycie głowy, ugotowany daje wyborną galaretę na słabości piersiowe.

Tak więc projekt opodatkowania ogonów upada jako niepraktyczny i obarczający i tak już obciążony budżet mężów. Słyszałem o nowéj propozycyi... uwolnienia się od ukłonów kapeluszem za pomocą karty kupionéj na cały rok w towarzystwie dobroczynności. Właściciel karty, zatknąwszy ją za kapelusz, przechadzał by się swobodnie wśród licznie snujących się znajomości, cieniując tylko ruchy głową lub zarysowując na ustach stopniowane uśmiechy wedle siły sympatyi.

— Niepodobna, rzekł do mnie pewien młodzieniec obrzuciłyby nas klątwą kobiety. Już i tak nie mogą darować że się na wielkanoc uwalniamy od niestrawności, składając pieniądze na ubogich zamiast objadać się święconem. Słyszę już jęki starszych szczególniéj matron: Giną bezpowrotnie resztki galanteryi i dobrego tonu! W jednym razie tylko kupiłbym z rozkoszą podobną kartę, gdyby mnie ona uwolnić mogła od ukłonów tym, którzy losy nasze czynią zależnemi od naszych ukłonów.

Spojrzałem zdziwiony na mego interlokutora. Nie miał on zwyczaju na los ani na ludzi wyrzekać, bo oprócz Heinego i Musseta, studyował z pożytkiem nauczającą księgę życia.

— Nie rozumiesz mię, — zaraz ci to wytłómaczę. Potrzebowałem poparcia jednego z tutejszych kapitalistów, który w kilku razach dał już dowody uczynności. Po wielu zachodach otrzymałem audyencyę, i przedstawiwszy mój interes zyskałem bardzo pocieszającą obietnicę. Przy rozmowie obecny był znajomy tobie i mnie i połowie Warszawy, bankier. Podczas krótkiéj chwili kiedy porządkowałem notatki, bankier odezwał się do mego protektora po niemiecku, wnioskując zapewne z méj fizyognomii, że nie posiadam tego pogromczego języka.

— Dla czego pan wdajesz się z hołotą... to interes nie pewny—jakie pan masz gwarancye?

— A gdybym też i stracił, odrzekł kapitalista... Moją zasadą jest: *Man muss leben und leben lassen.*

— Bardzo zła zasada... ja wyznaję inną... siostrę ekonomicznéj teoryi *laissez faire*... Jestem mianowicie zdania, że *Man muss leben und sterben lassen.*

Porwałem za kapelusz i uciekłem, skończył opowiadający młodzian, i to samo uczynił względem mnie, — nie ukłoniwszy się nawet, jak gdybym ja był jego protektorem, a on miał już sławną ową kartę na kapeluszu.

* * *

A szkoda że uciekł... bo najprzód dowiódłbym mu, że prędzéj wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż kronikarz zostanie kapitalistą—a powtóre pokazałbym mu list otrzymany niedawno z gubernii kijowskiéj, i zawierający fakta, w obec których aforyzmy ekonomiczne owego bankiera wydają się tylko błahemi konceptami à la Talleyrand. Powiat Skwirski gubernii kijowskiéj jest główném ogniskiem przemysłu cukrowianego. Liczne plantacye buraków i mnogość cukrowarni, daje tam zajęcie całéj klasie oficyalistów prywatnych, których stosunek do możnowładców administratorów, przypomina niektóremi rysami niewolniczą zależność negrów, od plantatorów amerykańskich. Nie ma tu bynajmniéj mowy o postępowém uregulowaniu tych stosunków na zasadach ekonomicznych, ale gdyby przynajmniéj uszanowane były względy ogólnoludzkie, gdyby w tém narzędziu, którego praca przyczynia się po utrzymania ciągłości produkcyi, chciano uznać człowieka! Posłuchaj czytelniku krótkiéj opowieści. Pod rządami administratora cukrowni X, pan Y młody człowiek, syn niezamożnéj rodziny mieszkającéj w tym samym powiecie, pełnił obowiązki, za które wynagrodzenie stanowiły jedyne jego utrzymanie. Administrator był zadowolony z sumiennego pracownika, a lubo mu tego żadnym objawem przychylności nie okazywał, — samym faktem milczenia dowodził, iż zarzutów stawiać nie może. Stosunek był chłodny, sztywny, prawidłowy jak zazębienie kółek u maszyny. Młody człowiek nigdy o nic nie prosił—niczego nie potrzebował—administrator pilnował surowo żeby nikt nie przekroczył zwykłego trybu egzystencyi fabrycznéj. Zdarzyło się jednak że brat młodego Y zachorował. Młodzieniec korzystając ze świąt, prosił o urlop.

— Dobrze, jedź pan odparł lodowato administrator, ale nie masz pan po co wracać,—miejsca dla pana już nie będzie.

Między potrzebą serdeczną, a żelazną koniecznością głodową, wybór był trudny. Biały negr został nie chcąc do domu i tak biednego przyjechać darmozjadem.

Tymczasem chory miał się coraz gorzéj, nareszcie przysłano do pana Y z wiadomością, że brat jego umiera.

Młody człowiek z rozpaczą krok swój ponowił i otrzymał tę samą odpowiedź.

Chory umarł nie widząc się z bratem, który przez administratora w takich słowach był pocieszony.

— Umarł powiadasz pan... ha, już kiedy nie mógł żyć to lepiéj zrobił,—żyjąc dłużéj i was by zniszczył do reszty i siebie nie wyratował.

No już o tém czytelniku nikt chyba nie powie, że nie przeprowadza w czynie zasady bankiera warszawskiego.

*Man muss leben und sterben lassen.*

* * *

Pewny jestem, że nie jeden z czytelników życzyłby sobie ,ażeby kronikarz „Wieńca" był tego samego zdania — nie nudziłby w takim razie dykteryjkami z zapadłych jakichś kątów, publiczności żądającéj lekkich felietonowych wrażeń, zaprawionych taką tylko dozą meladromatyczności, któraby źle na strawność nie oddziaływała.... To trudno! walka o byt... a jeśli nawet nie walka, to przynajmniéj filozoficzna obojętność. Aby tylko Gazeta Handlowa nie napisała w biuletynie giełdowym że: *usposobienie w cukrze miękkie*, to o resztę mniejsza. Trzeba więc być na wysokości swego wieku i wziąwszy rozbrat z sentymentalnością, wspomnieć coś o tak zwaném życiu bieżącém Warszawy. Otóż główny symptom tego życia bieżącego przejawiający się w przeszłym miesiącu w wycieczkach naturalistyczno-gastronomiczno-estetycznych, ustąpił miejsca innemu hygieniczno-leczniczemu. Mokotów ze swoją barwą demokratyczną, Wierzbno ze swoją drogą restauracyą, Wilanów ze swoją galeryą, i stokroć więcéj cenionemi tajemnicami chińskich stoliczków już się przyjadły — dostarczywszy trzpiotowatym warszawianom na cały rok sielskich wspomnień.

Następuje teraz druga faza wiosennéj gorączki, w któréj warszawianie dążą do uregulowania tych dorywczych wrażeń, zażywając wczasów willedźiatury, lub też z wypielęgnowanym starannie przez zimę katarem, żołądka, kiszek lub czegokolwiek śpieszą do miejsc kuracyjnych. Ze względu na moje stanowisko kronikarza, i na dobre zdrowie, którego ci także życzę czytelniku, nie podążę za temi ostatniemi,—ale też i nie myślę odwiedzać znajomych mieszkających pod Warszawą. Nasze letnie mieszkania, nasze podmiejskie wille, tak są już unieśmiertelnione ołówkiem Kostrzewskiego, że nicby mi do powiedzenia nie pozostało, — a w dodatku nie chcę być przedstawicielem téj plagi, o któréj zapomniał zdaje mi się nasz humorysta, a która zwie się technicznie „gośémi z Warszawy."

— Dzisiaj niedziela, wiesz co Bonusiu wartoby gdzie pojechać, mówi ze słodkim uśmiechem matka jedenaściorga dzieci.

— A warto, cedzi przez zęby Bonuś, obliczając na prędce co dwie dorożki kosztować będą... Może do ogrodu Botanicznego—na Kępę.

— Na Kępę wrzeszczy siedmioletni Władzio, który w roku zeszłym zbił sobie nos, spadłszy z huśtawki, popłyniemy na Izabelli!

— Co tam robić, przerywa skrzywiona mama... takie nudy.

— Oto wiecie państwo co, mówi powoli i z zastanowieniem tłusty, przysadzisty Wicuś czternastoletni, pojedźmy do państwa Antoniostwa.

— Do państwa Antoniostwa! krzyczy hurmem zgraja, która pamięta że kiedyś całą wiśnię objadła tam w ciągu pół godziny.

— Ależ nas tyle, zauważył ojciec...

— To też pojedziemy tak, bez ceremonii, mówi z serdecznością w głosie pani Bonusiowa.

I cała czereda, zabrawszy z sobą pół tuzina serdelków i tyleż bułek, dla oszczędzenia kłopotów państwu Antoniostwu, pakuje się w dwie *dryndy* (styl warszawski) i uszczęśliwia swym najazdem cichy zakątek, w którym państwo Antoniostwo odpoczywają po gwarze miejskim. W kilka godzin hałastra nakarmiona, napojona aż do niestrawności, wraca do miasta przebąkując.

— Mogli też coś lepszego dać na kolacyę!

Czytelniku, nie wyprowadzaj się na letnie mieszkanie, nie kupuj willi blizko miasta—mógłbym ci przytoczyć wypadki, w których „goście z Warszawy" pochłonęli całą przyzwoitą fortunkę.

* * *

Pozostaniemy tedy w mieście, któremu zresztą napływ wiejskiego żywiołu, nadaje odmienną nieco i charakterystyczną barwę. Może przynajmniéj od przybyłych ziemian, dowiemy się coś o urodzajach.

— Cóż tam w waszych stronach, zapytuję jednego.

— Hm, fiu,—nie tęgo—susza panie wypaliła, deszczu na gwałt potrzeba.

— A u was zagadnąłem zaczepiając drugiego—czy chleb będzie.

— Licha tam, odparł kwaśno rolnik już téj wody za wiele.

Odszedłem strapiony, i przekonany że wtedy tylko urodzaje będą świetne, kiedy na każdy dzień sprawdzi się kalendarzowa przepowiednia: „Pogoda stronami deszcz."

Z kimże jeżeli nie z obywatelem wiejskim mówić o „Towarzystwie parcelacyi." Zagadnąłem więc innego w téj kwestyi i wychwalałem użyteczność, dobrodziejstwo nawet tego rodzaju instytucyi,—wystawiając wszystkie korzyści systematu nabywania przez nią wielkich majątków, i rozdrabniania dobrze na mniéjsze zagospodarowane, które możnaby odprzedawać na przystępnych warunkach.

— To prawda odparł na to spokojnie gospodarz, ale któż mi zaręczy że zapłaciwszy dość drogo, bo 115 za sto za akcye, nie przyczynię się za moje pieniądze do zalania kraju elementem niemieckim w postaci kolonistów lub właścicieli większych nawet folwarków.

Umilkłem na ten argument, nie mając na jego poparcie nic prócz prospektu, jedynego dotychczas znaku działalności „Towarzystwa parcellacyi."

* * *

Myślą ze sfery projektów wcielającą się w rzeczywistość, jest Spółka połączonéj pracy kobiet, któréj akt zawartym już został przed rejentem Rościszewskim, w dniu 25 z. m.

Spółkę rzeczoną składają przeważnie kobiety: Akt nadawczy wyłuszcza powody powstania nowéj instytucyi:

„że gdy w ogólności praca kobiet jest mało produkcyjną, a nawet trudną do znalezienia w skutek ograniczonéj u nas działalności kobiecéj, zredukowanéj jedynie prawie do igły i nauczycielstwa, i gdy praca ta, z przyczyny wielkiéj ilości potrzebujących, największéj wyzyskiwaną jest przez niesumiennych spekulantów, przez co nie zapewniając bytu pracującym nie jest w stanie powstrzymać ich od upadku i występków od nędzy nieodłącznych, i gdy na koniec wielo wiekowe doświadczenie przekonało, iż zwyczajna dobroczynność i jałmużna zniedołężniając tylko potrzebujących, złego nie usuwa ale raczéj je pomnaża przeto osoby wymienione w kontrakcie postanowiły zawiązać Spółkę pod nazwą *„Połączona praca kobiet,"* która niebędąc instytucyą dobroczynną lecz przemysłowo-handlową, zakreśliła sobie następujące cele:

1) Otworzyć kobietom obszerniejsze pole do pracy, przez dostarczanie i ułatwianie im takowéj;

2) Rozszerzyć zakres ich działalności, przez użycie ich do rękodzieł dotąd przez kobiety niepraktykowanych;

3) Ułatwić sprzedaż wyrobów kobiecych przez przyjmowanie takowych w komis i zapewnienie sobie stosunków handlowych po zagranicami kraju, dla takowego zbytu, i

4) Zapewnić stałym pracownicom rodzaj moralnéj i materyalnéj opieki, przez stopniowe dopuszczanie ich do udziału w spółce.

Każda pracownica *stała* przedsiębierstwa, skoro będzie miała złożone w kassie spółki kwotę rs. 15 staje się uazestniczką spółki, i z tego tytułu korzysta ze wszystkich jéj zysków w stosunku do swego udziału. Z udziałów takich oraz innych źródeł w kontrakcie wymienionych, formuje się kapitał tak zwany *oszczędności*, który wzrastając w miarę rozwoju saméj spółki, stanowić będzie wyłączną własność jéj uczestniczek. Kapitał ten corocznie powiększa się zyskami osiągniętemi, a po każdych 5-ciu latach rozdziela się pomiędzy uczestniczki, w stosunku do udziału. O ile więc która z nich zwiększy swój udział będący w spółce, o tyle też korzystać będzie przy rozdziale *kapitału oszczędności*.

Stósownie do sił swoich, spółka ma nateraz zamiar otworzyć kantor komisowy dla przyjmowania zamówień na różnorodne roboty, które pod swą gwarancyą znanym sobie pracownicom rozdawać będzie, oraz gotowych robót na sprzedaż w Bazarze Spółki. Obok kantoru otworzy pracownię szycia bielizny. Z biegiem czasu zakres działalności znacznie rozszerzonym zostanie.

Z całego serca przyklaskując zacnéj myśli pani doktorowéj Kuczyńskiéj która stanęła na czele spółki „Połączona praca kobiet“, z naszéj strony nasuwamy uwagę czy przy rozwijaniu działalności spółki nie dałby się zastosować pomysł urządzenia oddzielnéj pracowni do szycia przy któréj motor poruszający znaczną liczbę maszyn do szycia oszczędzałby przychodnim pracownicom mozolnego wprawiania w ruch ręką lub nogą mechanizmu maszyny. W Petersburgu gdzie ten pomysł ma być wprowadzony w życie w formie stowarzyszenia pod nazwą „Maszyna do szycia“ opłata za 12 godzin za użytek maszyny oznacza się na 15 kop. z których $^2/_3$ odliczane jest na kapitał pracownicy pragnącéj w ten sposób przyjść do posiadania własnéj maszyny. Szwaczka nie życząca sobie nabywać maszyny za 12 godzinne jéj używanie, opłacać będzie tylko 8 kop. Myśl tę nową i szczęśliwą, polecamy kierownikom spółki „połączonéj pracy kobiet.“

* * *

Smutną bardzo wiadomością wypadło mi zakończyć dzisiejszą kronikę. W dniu 4-m b. m. t. j. we Wtorek o godzinie 6-téj po południu, zmarł nagle **Moniuszko**. Kraj traci w znakomitym twórcy „Widm“, mistrza który po Szopenie najgłębiéj sięgnął w ducha rodzinnéj melodyi ujmując w jéj rytmy, z miłością podsłuchiwane bicie serca ludu. Świat artystyczny ponosi również stratę niepowetowaną; ze śmiercią bowiem Moniuszki zmniejsza się i tak już szczupła garstka twórców oryginalnych i natchnionych, którzy w obec powodzi mierności i rzemieślnictwa w muzyce, godnie jeszcze repezentowali sztukę Europejską. Zanim kompetentne pióro wyświeci czytelnikom „Wieńca“ znakomite zasługi zmarłego, poświęcamy te słów kilka pamięci muzyka-poety który był chlubą naszą.

## BIBLIOGRAFIA.

Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego, napisał Jan Karłowicz. Poznań. 1872. str. 32.

Przedmiotem rozprawy p. K. jest wojna r. 1018, a głównie jéj zakończenie—odwrót Bolesława W. z Kijowa, który dotąd przez niedostateczne zrozumienie kroniki Dytmara, mylnie był przez dziejopisów opowiadany. Trzy główne źródła do historyi téj wyprawy posiadamy: kronikę Dytmara, kronikę Marcina Galla i latopis Nestora. Dytmar, jako w spółczesny wypadkowi i niewątpliwie lubiący prawdę, najwięcéj z trzech na wiarę zasługuje. Nestor i Marcin nasz niektóre rysy dwóch wypraw Chrobrego i Śmiałego zmieszali, z jednéj na drugą przenieśli lub powtórzyli. Długosz bardziéj zaciemnił niż wyjaśnił sprawy ruskie za Bolesława W. Niesłychany w tym względzie znajdujemy u niego odmęt chronologiczny, nietrafne użycie źródeł, przekształcanie imion własnych i nazw geograficznych, zwiększanie wypadków i wielki brak krytyki historycznéj. Śladem Długosza poszli i nowsi dziejopisarze. Naruszewicz, za mało mając uwagi na Dytmara, z jednéj wyprawy kijowskiéj dwie zrobił. Nieodżałowany Szajnocha, aczkolwiek zwrócił uwagę na oczywistą sprzeczność opowiedzianéj u Nestora ucieczki Chrobrego z Kijowa z zabraniem siostr, bojarów i skarbów Jarosława, mnóztwa jeńców i miast czerwieńskich; zaprzeczając jednak aby wymordowanie Polaków po miastach ruskich mogło nastąpić podczas bytności Bolesława w Kijowie i być przyczyną jego odwrotu, przypuszcza, iż rzeź ta nastąpiła po wystąpieniu króla. Nie porównawszy wypadku tego ze zdarzeniami zaszłemi w lat 50 później, podczas wyprawy Bolesława II Śmiałego na Kijów, Szajnocha wpadł w większą jeszcze niekonsekwencyę, bo kazał Dytmarowi, zmarłemu w r. 1018, świadczyć o szczęśliwym powrocie Bolesława do kraju po dziesięciomiesięcznym pobycie w Kijowie, a więc o wypadku zaszłym w Czerwcu 1019 roku. Zmieszał Galla z Dytmarem i prawdę zmącił.

Z porównania źródeł późniejszych z Dytmarem p. Karłowicz odbudowuje wypadki 1018 roku w następujący sposób: „Bolesław W., dla zapewnienia przewagi swéj na Rusi, odebrania grodów czerwieńskich, zabranych Polakom przez Włodzimierza r. 981, oraz pomszczenia za pomoc daną cesarzowi przez Jarosława r. 1017 przeciw Polakom, uwolnienia z jego rąk swéj córki i osadzenia Świętopełka na tronie, udał się na Ruś latem 1018 r.; nad Bugiem spotkał się 22 lipca z idącym przeciw niemu Jarosławem, pobił go i do ucieczki do Nowogrodu zmusił; 14 Sierpnia tegoż roku zdobył Kijów, poczém osadził na tronie księcia, zapewnił wyswobodzenie córki z rąk Jarosława, na początku Września opuścił Kijów z łupami i jeńcami, wracając do Polski pobił może raz jeszcze goniącego z Nowogrodu Jarosława, obsadził załogami miasta czerwieńskie i pod koniec Września tegoż roku do ojczyzny z tryumfem wrócił... Po roku 1018 Bolesław W. żadnego starcia z Jarosławem nie miał.“

Na pozór praca p. Karłowicza, redukująca się do porównania trzech kronikarzy i wysnucia najprostszych wniosków, nie jest zbyt ważną, i jako dyssertacya na stopień doktora filozofii, występuje z za nadto skromnym zasobem erudycyi historycznéj. A jednak, dzięki autorowi, możemy sprostować błąd, tradycyjnie szanowany przez piszących i nauczycieli, a oparty już to na uprzedzeniach, już na powierzchownem badaniu materyałów źródłowych.





**Wydawca,** Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 25 Мая (6 Іюня) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.